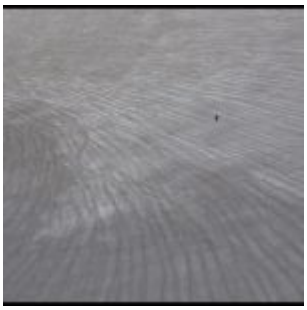
Piz Morteratsch – 3751 m n.p.m.

> *„Przygoda, z nieodzownym ryzykiem i dziką przestrzenią, stanowi tęsknotę głęboko wpisaną w duszę mężczyzny. Męskie serce potrzebuje miejsca, w którym nic nie jest prefabrykowane, wzorcowe, podgrzane w mikrofali. Gdzie nie ma terminów, telefonów komórkowych ani spotkań zarządu. Gdzie jest miejsce dla duszy.”*
>
> John Eldredge – Dzikie serce



Samotny wędrowiec na lodowcu.



Nie byłem sam! Cały czas towarzyszył mi ludzik z klocków. W tle Piz Roseg (3937 m).



Biancograt widziana z Piz Morteratsch. Widoczni nasi przyjaciele, którzy w 3-osobowym zespole idą po ostrzu grani.



Nie ma to jak poplumkać na czekanie. W tle po lewej Piz Scerscen a po prawej – Piz Roseg.



Oni na dół, ja do góry.

5 lipca 2019 – wyjście w środku nocy miało zagwarantować sukces i zdobycie szczytu Piz Berniny. Niestety okazało się kolejnym, trzecim już falstartem. Jeszcze przed podejściem na przełęcz, zaraz za trawersem, Aga sygnalizuje fatalne samopoczucie. Wygląda, jakby miała zaraz umrzeć, albo jeszcze gorzej – jakby umarła pół godziny temu. Wracamy we dwoje do namiotu, podczas gdy pozostała trójka kontynuuje próbę.

W miarę zbliżania się do namiotu Aga czuje się odrobinę lepiej i zapewnia mnie, że mogę pójść gdzieś jeśli chcę, bo ona chce

się po prostu wyspać. Postanawiam zatem wejść na znajdujący się tuż nad nami Piz Morteratsch. Do pokonania mam około 1000 mH i naprawdę niewielką odległość do przejścia. Kiedyś już raz (w 2013) zrobiłem podobną próbę dokładnie z tego samego miejsca. Zawróciłem wtedy ze śnieżnego ramienia, jakieś 40 minut od wierzchołka.

Na starcie niespecjalnie czułem się zmotywowany. Po pierwsze rozczarowanie, jeśli chodzi o główny cel, czyli Piz Berninę. Rozczarowanie nie tyle wycofem, bo powód był niepodważalny, ale całą tą formą, jaką przybrał nasz atak szczytowy. Nie byliśmy na tę trasę przygotowani i zostanie to udowodnione, ale o tym kiedy indziej. Po drugie, w namiocie zostawiłem chorą Agę. Co jak co, to nie jest osoba, która by sobie nie poradziła w takiej sytuacji. A nawet gdyby było kiedyś krytycznie, to by po prostu mi to powiedziała. No ale jednak, siedziało to z tyłu głowy. Ogólnie – nogi niosły, ale głowa ciążyła.

Jednak wraz z pokonywaną wysokością troski przemijały ustępując miejsca zdecydowaniu. Jeszcze zanim dotarłem do lodowca poczułem rytm. Niesamowity stan, w którym wszystko współgra i jest „na tak”. Wyskakuję na lodowiec i macham kończynami po śniegu tak, jak płetwami macha żółwik moich dzieci na basenie, kiedy go na maksa nakręcą. Na grzbiecie ponad mną obserwuję 3 posuwające się do góry punkty. Czyli tak zupełnie sam dziś tu nie będę, to nawet dobrze.

Wydeptanymi w śniegu stopniami szybko zdobywam wysokość i chwilę potem zasuwam śnieżnym ramieniem. Przy kopule szczytowej przechodzę na drugą stronę i trawersuję lodowe masy zwisające ze wschodniej ściany. Staję przed szczeliną, wzdłuż której prowadzi ścieżka i tracę cały impet. Iść czy zawrócić? Nie wyczuwam szczególnego zagrożenia, ale ewidentnie teren przestaje być przyjazny. Rozmyślam jakiś czas, nie wiem ile – może 2 minuty, a może 2 sekundy. Finalnie decyduję, że idę dalej, bo podświadomie czuję, że ryzyko jest akceptowalne.

Za szczeliną i za trawersem zaczyna się ostatnie już, ostre podejście na szczyt. Tu spotykam innego turystę i jest mi od tej pory znów lekko na duszy, ponieważ on też idzie sam. Zagaduje mnie:
– Where are you come from?
– Poland.
– I knew it!
– Why?
– You’re here alone, so you must be from Poland!

Rozmawiamy jeszcze kilka minut, co mi jest bardzo na rękę, bo potrzebuję złapać oddech. Potem napotykam jeszcze 2 ekipy schodzące na dół i zaraz potem staję na wierzchołku. Nie czuję nic specjalnego, a spodziewałem się czegoś ekstra ze względu na to, że byłem sam, a takie doświadczenia z reguły przeżywam mocno. Na pewno poczułem satysfakcję z powodu czasu, w jakim tu wszedłem – 2h10′.

Na dół nabieram jeszcze większego rozpędu i schodzę te 1000 mH zaledwie w 1h05′. **Aga podsumowuje tempo zejścia krótko: „Rozwalisz sobie kolana”.**

> *„Większość ludzi trwoni siły, starając się wyeliminować ryzyko albo zmniejszyć je do wygodnych rozmiarów. Gdy to się udaje, gdy mężczyźnie udaje się zabezpieczyć życie przed ryzykiem, ląduje w kokonie samoocalenia i nieustannie zastanawia się, dlaczego się dusi. (…) Tak przy okazji, można stracić duszę na długo przed śmiercią.”*
>
> John Eldredge – Dzikie serce

Dziku

A może to Yeti?

Powyżej na zdjęciu Szwajcarska część Masywu Silvretty – nie dla miśków!

> 2-go czerwca 2019 podczas wejścia na Tschadinhorn na wysokości powyżej 2000 m n.p.m. zauważyliśmy nietypowe ślady na śniegu. W najmniejszym stopniu nie przypominały one śladów człowieka, ani żadnego innego „normalnych" rozmiarów zwierzęcia, tzn. lisa czy świstaka. Zresztą ślady przecinały szlak w poprzek i co istotne: oprócz nas w tych dniach nikt tam nie się nie kręcił. Była to typowa przerwa między sezonami, czyli za późno na narty skiturowe, lecz za wcześnie na piesze wędrówki. Jest to okres potężnych lawin mokrego śniegu zsuwających się po stokach.

Wydarzenie to tak zakorzeniło mi się w głowie, że postanowiłem temat zgłębić.

Czy w Alpach są niedźwiedzie?

Odpowiedź na to pytanie było dla mnie pewnym zaskoczeniem, gdyż jak wiemy państwa Europy Zachodniej są państwami zamożniejszymi i bardziej rozwiniętymi od Polski. A przecież postęp i ochrona natury delikatnie mówiąc nie idą w parze. Oczywiście to, że tak zawsze było nie oznacza, że tak zawsze będzie. Albo ludzkość zacznie sama z siebie (świadomość) zmieniać podejście do środowiska, albo… zostanie do tego brutalnie przez życie zmuszona.

Patrząc na historię niedźwiedzi w Alpach, można stwierdzić, że w pewnym stopniu ta świadomość już się zmieniła. Ponieważ w latach 90-tych z pomocą człowieka nastąpiła reintrodukcja gatunku w Austrii. Wtedy to „zaimportowano" ze Słowenii 3 osobniki, które dały początek nowej populacji. Wcześniej jedyne alpejskie osobniki, które przetrwały polowania to zaledwie parę sztuk, które uchowały się w Tyrolu Południowym (Włochy). A zatem… przez 100 lat (od XIX wieku) w takich

krajach jak Austria i Szwajcaria nie było ANI JEDNEGO niedźwiedzia. Dziś populację niedźwiedzi w Alpach szacuje się na nie więcej jak 50 osobników. Dla porównania – w Karpatach ilość niedźwiedzi szacuje się na ponad 7… TYSIĘCY sztuk! (z tego 6000 na terenie Rumunii).

Konflikt interesów

Co stoi na przeszkodzie, żeby większe drapieżniki żyły sobie na tak olbrzymich i dzikich obszarach, jakim są alpejskie lasy i zbocza gór? Obserwując wydarzenia z ostatnich miesięcy największy problem mają z tym hodowcy bydła. Każdy incydent związany z odkryciem zabitej owcy ze stada jest ze szczegółami opisywany w prasie. Publikowane są również zdjęcia szczątków. Hodowcy nie chcą dużych drapieżników w „swojej" krainie. Po kilku tegorocznych incydentach z udziałem wilków i niedźwiedzi została wystosowana petycja o odstrzał tych zwierząt. I choć władze na coś takiego póki co nie pozwoliły (międzynarodowe prawa ochrony niektórych gatunków), to poparcie dla tego pomysłu jest zaskakująco wysokie.

Tak przedstawia się wynik ankiety przeprowadzonej przez portal informacyjny tirol.orf.at:



Ankieta zatytułowana „Czy powinno się zezwolić na odstrzał niedźwiedzia i wilka w Tyrolu?" z lipca

Co ciekawe, w prasie opisywane są nawet przypadki tego, że wilk upolował łanię. Hmm… wilki zjadły łanię – no koszmar!

Miejscowa ludność w Tyrolu być może postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce, bo zaledwie parę dni po tych wydarzeniach odnaleziono ciało 30kg wilka z uciętą głową. Raczej nie zrobił tego w zemście jeleń – mąż wspomnianej łani.

Poza granicami Tyrolu

Nie za bardzo jest co pisać o Szwajcarii, bo tam na wilki i niedźwiedzie zgody nie ma. To, że stosunkowo niedawno jeden z niedźwiedzi odważył się przejść przez granicę i stać się pierwszym osobnikiem w tym państwie po ponad 100 latach, to wg mnie zwykłe parcie na szkło z jego strony! Chciał być sławny i tyle!

A Francja? Tu można by pisać wiele, ale w smutnym tonie. W 2004-tym roku myśliwi zabili ostatniego „francuskiego" niedźwiedzia. Wilki wybito znacznie wcześniej – bo w 1930-tym. Pamiętajmy, że jest mowa o kraju o powierzchni dwa razy większej niż Polska. Dziś populacja niedźwiedzi we francuskich Pirenejach odtwarzana jest z pomocą słoweńskich osobników, ale towarzyszą temu spore bolączki. I znów chodzi o farmerów, którzy w dramatyczny sposób przedstawiają drapieżniki jako bestie. Mowa tutaj o protestach z udziałem przebierańców w maskach wilków, z paleniem stosów, transparentami o dramatycznej treści a nawet rozrzucaniem przed ratuszem owczych ciał i wylewaniu z beczek na ulicę zwierzęcej krwi.

Co ciekawe – zarówno w Austrii, jak i we Francji wypłacane jest odszkodowanie za każdą zabitą przez drapieżnika owcę. W Tyrolu jest to od 347 € do 1142 € za każdą owcę. Odszkodowanie wypłacane jest bezwzględnie, nawet jeśli nie będzie można określić, z jakim drapieżnikiem mamy do czynienia (zwykle jest to określane przez przeprowadzane z urzędu testy DNA).

Wilk vs. pies

Od II Wojny Światowej w Polsce nie odnotowano ani jednego zgonu człowieka spowodowanego atakiem ze strony wilka. Wcześniejsze przypadki też budzą wiele wątpliwości. Ilu ludzi w tym samym czasie zostało zagryzionych w Polsce przez psy? Sprawdźcie, jeśli chcecie. Podpowiem, że na świecie jest to 25 tysięcy osób rocznie, dzięki temu w badaniach Międzynarodowej Organizacji Zdrowia psy zajmują trzecie miejsce na podium w kategorii zwierząt, które najbardziej zagrażają życiu człowieka. Na pierwszym miejscu jest komar.

A może gorzej jest na chronionych rezerwatami obszarach Ameryki Północnej? Tylko odrobinę, bo na całym kontynencie odnotowano przez ostatnie 100 lat 2 zgony spowodowane atakiem wilka. I powtórzę smutny fakt: psy zagryzają 25 tysięcy ludzi rocznie.

To tyle, co miałem do przekazana w temacie dużych drapieżników w Alpach.

Czy napotkane przez nas na śniegu na początku czerwca ślady były śladami niedźwiedzia? Prawdopodobieństwo jakieś jest, bo w 2002 roku to właśnie tam, w grupie Schobera zaobserwowano tego drapieżnika powyżej 2000 m n.p.m. Żałuję, że nie zrobiłem zdjęcia odciśniętych łap, można by na spokojnie dziś temat przeanalizować. A tak, mogę mieć tylko nadzieję, że jeśli to był misiek to nadal sobie gdzieś tam spaceruje i ma się dobrze.

A może to był Yeti?

Alpy po sudecku

Powyżej na zdjęciu Weissmies (4017 m) widziany z Lagginhorn (4010 m)

70 alpejskich szczytów w dorobku! Niektóre z nich powtórzone parę razy, a niektóre pozostały przeze mnie niezdobyte. Ale to wciąż 70 wejść, zejść, prób i przede wszystkim lekcji. Czy 70 to dużo? Otóż ta liczba mówi o jednym: o niczym. Można się więcej nauczyć zdobywając szczytów 7. Można też wejść na 140 i wciąż być niemal w tym samym miejscu co na początku. Ja jednak jestem usatysfakcjonowany miejscem, w którym się znajduję. W Alpach czuję się jak w domu, a na to na pewno miała wpływ ilość zrealizowanych wyjazdów.

Alpy po sudecku

Po kilku ostatnich wypadach w Sudety zacząłem się zastanawiać, dlaczego w Alpach działamy jak w zwolnionym tempie. Skoro mogę na podejściach utrzymywać odpowiednią prędkość w niższych górach, to dlaczego podobnie nie ma być gdzieś wyżej? Dlaczego w Sudetach pokonuję wraz z przewyższeniami 20km w 3,5h a tymczasem w Alpach wleczemy się 1/3 tego dystansu przez pół dnia. Skoro mogę przeszurać na biegówkach 50km z kanapką, batonikiem i bez namiotu, to dlaczego w Alpach muszę na zaplanowane 20km trasy mieć zestaw garnków, reklamówkę jedzenia oraz ważący ponad 3kg wyprawowy namiot. Czas przenieść sudeckie doświadczenia na wyższy poziom.

Przygotowania

Na celownik wziąłem szczyty Lagginhorn i Weissmies. Oba są szczytami technicznie łatwymi, jednocześnie ich wysokość nieznacznie przekracza 4 tys. metrów. Nieśmiało zerkałem też na mapie w stronę Fletschhorna (3993 m), ale pamiętając nauczki z poprzednich lat, kiedy to chciałem „więcej i więcej" a na koniec była figa z makiem – tym razem temat 3-go szczytu na trwającym 2 i pół dnia wyjściu w góry odpuściłem.

Niesłusznie.

Kluczem było odchudzenie plecaka. Wziąłem niemal tylko to, co niezbędne, więc zrezygnowałem chociażby z namiotu, zapasowych majtek i skarpetek. Pewnie, że jeszcze kilka drobiazgów można było odrzucić (scyzoryk, zapasowe baterie do czołówki, soczewki, zapasowa koszulka), ale zostawiłem sobie potencjał na kolejne akcje. Wejścia na szczyty i tak dokonywane były zupełnie na lekko, a w przypadku potrzeby przemieszczenia się z całym dobytkiem było to przedsięwzięcie znacznie łatwiejsze i przyjemniejsze.

Sprawdził się po raz kolejny patent z przygotowywaniem porcji jedzeniowych na zasadzie: „to zjem w piątek rano, a to wieczorem, a to w sobotę rano" itd. czyli bez wrzucania jedzenia do plecaka metodą „na czuja". W rezultacie zniosłem do samochodu jeden kisiel, jedną torebkę herbaty oraz 2 batoniki (te batoniki miały być zjedzone ostatniego dnia, ale kompletnie nie miałem apetytu). Noszenie zbędnego balastu w postaci jedzenia to najczęstszy i najbardziej odczuwalny przez nasze ramiona powtarzany do tej pory błąd. A przecież… z głodu się jeszcze nikt nie zesrał!

Akcja nr 1

Nie zanudzając, by było krótko i słodko: pierwszego dnia po wyjściu z kolejki Saas Grund-Kreuzboden (2400 m) odczekuję chwilę, by dołączył do mnie Maciek (ostatnio wspólnie wędrowaliśmy aż 8 lat temu, podczas zdobywania najwyższego szczytu Uralu) i ruszamy z całym dobytkiem na górę. Była to godzina 9:30. Na wysokości nieco ponad 3000 metrów zostawiamy część rzeczy i dalej idziemy już tylko z paroma rzeczami w plecaku. Wśród nich picie, czołówka, kurtka, czekan i raki (oprócz picia pozostałe artefakty okazały się niepotrzebne). Na szczycie Lagginhorn o wysokości 4010 m n.p.m. staję o 13:50, zatem od budynku kolejki wejście zajęło 4h20'. To niemal 400mH na godzinę, więc całkiem satysfakcjonująco. Do tego część drogi pokonana z kompletem zabranego bagażu (ze

względu na odchudzony na tym wyjeździe plecak było to zupełnie nieuciążliwe) no i niemal bez przerwy nawijając z Maćkiem na przeróżne tematy (spotkanie z tym wyjątkowym człowiekiem to był dla mnie hit sezonu).

Ogólnie to styl był w pełni sudecki, czyli taki, jaki miał być. Podczas całego podejścia na szczyt nie odczułem żadnych oznak zmęczenia czy zadyszki. Myślę, że tego dnia mogłem dać z siebie znacznie więcej, ale nie takie były założenia.

Późniejszym popołudniem schodzimy do zdeponowanych pod kamieniem rzeczy i po chwili jesteśmy gotowi do wymarszu pod kolejny 4-tysięcznik. Robimy tu coś niezrozumiałego, gdyż zamiast trawersować zbocze ścieżką i bez utraty wysokości dostać się do celu, my postanawiamy zejść do skrzyżowania na wysokości 2800 m i stamtąd szlakiem po raz kolejny wspinać się na wysokość 3100 metrów. Ewidentnie energia nas rozpierała, byliśmy jak małe dzieci na nowym placu zabaw.

Wieczorem udaję się na spacer odwiedzić naszych kolegów, którzy rozłożyli namiot w pobliżu lodowca. Do naszej bazy noclegowej, jaką okazał się nieco zrujnowany, stary budynek kolejki, wracam dopiero koło godziny 22-giej. Ogólnie czuję się mentalnie tak dobrze, jak nigdy wcześniej w Alpach. Podobno *„kiedy mężczyzna wychodzi w góry, to wraca do domu„* [John Muir]. Ja tego dnia właśnie tak się czuję.



Bryle na nosie i radosna mina, to Maciek i Dziku – pędzą na Laggina!



Na zachodniej grani Lagginhorna



Lagginhorn – 4010 m n.p.m.

Akcja nr 2

Po zaledwie paru godzinach snu, koło 3:30 znów wychodzimy w góry. Niepotrzebne podczas ataku szczytowego rzeczy deponujemy przy namiocie kolegów. Na lodowiec wchodzimy koło godz. 4-tej w zespołach: Dziku z Maćkiem oraz Łukasz z Piotrkiem. Już około godziny 7:30 stajemy na szczycie. Droga nie była łatwa, gdyż prowadziła po stromym i mocno poszczelinionym lodowcu. Wysokie temperatury odcisnęły swoje piętno: ścieżka urywała się czasem na zawalonym moście śnieżnym a zaledwie 4 dni przed nami nastąpił tu duży obryw seraków. Bez większych problemów jednak zdobywamy najwyższą górę w tym masywie – Weissmies (4017 m).

O 10-tej jesteśmy już przy namiocie. Maciek zmywa się do miasta i wraca do domu. Piotrek i Andrzej decydują się jeszcze

wyjść na Lagginhorn, a ja z Łukaszem lenimy się niemożebnie. Korzystam z tego, że jest miejsce w namiocie i w bezlitośnie dopiekającym słońcu autentycznie cały dzień leżę (muszę to tu zapisać, bo pewnie kiedyś nie będzie mi się chciało w to uwierzyć).

Podnoszę tyłek dopiero koło 21-wszej. Zabieram cały dobytek i idę się skitrać do mojej tajnej i nielegalnej kryjówki. Już niemal w zupełnych ciemnościach spotykam zmierzających do namiotu Andrzeja i Piotrka. Ten drugi słania się na nogach. Ma prawo, bo pozamiatał system – w niespełna 20h wszedł na dwa 4-tysięczniki, w dodatku podczas swojego pierwszego w życiu wypadu w Alpy. No cóż, można wiele, wystarczy tylko nie wiedzieć, że czegoś tam „nie da się”. Tego dnia wszyscy 3 uczestnicy wycieczki stanęli na swoim pierwszym 4-tysięczniku. Wszystkim im należą się gratulacje.

Krzątam się po okolicy do samej nocy. W tych dniach odczuwam całkowity spokój. Podczas wypadów na szczyty czuję, że wszystko jest pod kontrolą, więc tym bardziej po zejściu z lodowca nie przejmuję się niczym na wyrost. W tym miejscu bardzo dziękuję Asi i Adze za częste podsyłanie prognoz pogody, bo to też powodowało, że nie martwiłem się na zapas.



Bardzo ładne zdjęcie autorstwa Łukasza, a po środku kadru stoi Dzik



Piotrek i Łukasz na podejściu na Weissmies



Piotrek i Łukasz na grani Weissmies



Na szczycie Weissmies (4017 m). Od lewej Piotrek, Maciek, Łukasz i Dziku (z błyskiem w oku hehe)



Maciek na najbardziej emocjonującym fragmencie podejścia na Weissmies



Lodowiec pod Weissmies, częściowo widoczna ścieżka oraz jedna z grup na lodowcu

Akcja nr 2 i pół

W ostatni dzień wyszliśmy z Łukaszem na wspomniany wcześniej (piękny zresztą) szczyt Fletschhorn. Przeczytane kilku zdań opisu trasy nie wystarczyło by osiągnąć sukces. Tylko 2 zdania przeczytałem ze zrozumieniem tekstu, a pozostałe 2 na odpiernicz. I w ten sposób powyżej 3500 metrów mylę trasę i schodzimy na lodowiec. Idziemy po nim łukiem, docieramy do grani na wysokość ok. 3850 m i tam natrafiamy na wyraźne, głębokie odciski stóp. Co ciekawe, przez całą drogę do tego miejsca widziałem ślady, które w rzeczywistości nie istniały. Tak naprawdę dopiero teraz jesteśmy na właściwej drodze, ale jesteśmy już nieco zmęczeni psychicznie. Trasa była niełatwa z

powodu warunków – brak widoczności, spore nachylenie i oblodzenie, do tego silny wiatr na grani, który może bardzo szybko spowodować odmrożenia na twarzy. Zresztą pierwsze objawy już są po nas widoczne. Wracamy tą samą drogą, którą tu weszliśmy. Opuszczamy niegościnną strefę i wkrótce zasuwamy w pełnym słońcu wśród uroczych alpejskich krajobrazów jak z widokówek.



Przy tych skałkach spękaliśmy. Szczyt był nieco na prawo i dzieliło nas od niego zaledwie 150 metrów w pionie. Ale było to i tak wartościowe i pouczające doświadczenie



Łukasz na zboczach Fletschhorna a w tle miasteczko Saas Fee



Fletschhorn (3993 m n.p.m.) – jeden z najładniejszych „prawie czterotysięczników”



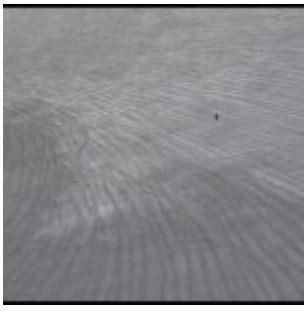
Widoczki na drodze zejściowej do Saas Grund

Ten wyjazd był dokładnie taki, jaki miał być. Fletschhorn już na wstępie zignorowałem i przez to na niego nie wszedłem. Następnym razem podejdę do planowania nieco bardziej ambitnie. Chociaż z drugiej strony: 2 i pół dnia w górach i 2 i pół zdobytych szczytów – to chyba niezły wynik.

Dziku

PS. Z ostatniego dnia wynieśliśmy ważną naukę: „Jeśli znosisz z góry przesyłkę do WC i zamykasz się w kabinie mentalnie nastawiony na finał za 3 sekundy, to upewnij się, że wcześniej ściągnąłeś uprząż.”

01.06 – Dzień (bez) dziecka



Samotny wędrowiec na lodowcu.



Nie byłem sam! Cały czas towarzyszył mi ludzik z klocków. W tle Piz Roseg (3937 m).



Biancograt widziana z Piz Morteratsch. Widoczni nasi przyjaciele, którzy w 3-osobowym zespole idą po ostrzu grani.



Nie ma to jak poplumkać na czekanie. W tle po lewej Piz Scerscen a po prawej – Piz Roseg.



Oni na dół, ja do góry.

Wstęp

O wypadzie w Alpy w pierwszy weekend czerwca myślałem od paru tygodni. Regularnie, czyli 78 razy na dobę sprawdzałem prognozę pogody, która nie napawała optymizmem ze względu na wyjątkowo duże opady śniegu, przynajmniej jak na wiosnę. Jednak na parę dni przed potencjalnym wyjazdem opady ustały i zapowiadała się piękna pogoda. Pozostał jeszcze jeden problem – jak o tym powiedzieć żonie? Zwlekałem do ostatniego dnia przed wyjazdem, kiedy to przy śniadaniu postanowiłem postawić sprawę twardo i po męsku: ze zwieszoną głową i niepewnym głosem oznajmiłem wtedy, że do wyjazdu namawia mnie Tomek i że tak naprawdę to ja nawet niespecjalnie chcę jechać, no ale wiadomo…

Odpowiedź Agi mnie zaskoczyła, pomimo ukończonych właśnie 10 lat znajomości:

– Jadę z wami!

Dzień pierwszy z dni półtora

Wieczorem w piątek podjeżdżamy pod dom teściów, który szczęśliwie znajduje się w Kotlinie Kłodzkiej (po drodze na Śnieżnik, natomiast Alpy to te następne góry z tyłu). Stukamy w drzwi, zostawiamy dzieci i uciekamy. One się cieszą na przygodę i my również.

Rano dojeżdżamy zgodnie z planem do Lesach. Ubieramy buty i w drogę, aż do pierwszej przeszkody, którą napotkaliśmy po jakichś 15 krokach. Okazuje się, że obryw zbocza uszkodził szlak i trzeba iść „objazdem", nieco naokoło. Nic nie szkodzi, nie nadkładamy jakoś w ten sposób dużo drogi i po parunastu minutach znów jesteśmy na właściwym szlaku. Niedługo potem znów natrafiamy na niepokojące informacje – szlak zamknięty ze względu na obrywy i lawiny kamienne oraz zwaliska drzew. Nie uśmiecha nam się iść drugim brzegiem rzeki – drogą dłuższą i w dodatku wystawioną na pełne słońce. Ponieważ język niemiecki jest nam znany w ograniczonym stopniu to tłumaczymy sobie tekst w sposób, który nam w tej chwili bardziej odpowiada. Wg naszego tłumaczenia to tam po drugiej stronie są obrywy, a nasz szlak jest OK.

Oczywiście było inaczej i przechodziliśmy pod olbrzymimi konarami lub uprawialiśmy wspinaczkę korzeniową o stopniu trudności co najmniej III.

Szczęśliwie docieramy do polany Lesachalm. Przed nami pięknie prezentuje się Glodis, zaś gdzieś po prawej ukryty jest Hochschober. Oba szczyty są naszymi celami na te półtora dnia. Żeby nie trzymać w napięciu od razu powiem, że niespecjalnie się nawet do nich zbliżymy.

Zostawiamy bagaż w lesie i ruszamy do góry po zaśnieżonym zboczu. Już pierwszego dnia przemoczymy buty ze względu na zalegające olbrzymie masy mokrego śniegu. To podejście w kierunku Hochschobera potraktuję jako nieudaną próbę jego zdobycia i dopiszę dolisty „Inwentaryzacja dorobku", choć

miałem tu dylemat, bo szanse były tak małe, że mógłbym z czystym sumieniem potraktować to jedynie jako zwiad.
Obejrzeliśmy sobie ze zbocza potężne lawiniska, ciągnące się kilometrami. Obejrzeliśmy sunące lawiny z przeciwległego stoku, opaliliśmy mordki, zmęczyliśmy się torując w śniegu, a na koniec – weszliśmy na punkt widokowy, oznaczony na mapie jako Kögerl (2386). Ten dzień i tak uważamy za udany. Z czystym sumieniem wracamy do pozostawionego depozytu i szukamy płaskiego miejsca na namiot. Ja czuję jeszcze niedosyt więc idę na 1,5 godzinny marsz w kierunku Glodisa. Rozeznanie kończy się następującymi wnioskami: kocioł pod granią jest dostępny, ale co nas czeka w kotle, to można się domyślić – głęboki śnieg i zsypujące się na nas z otaczających zboczy lawiny. Jednym słowem – samobójstwo.

Dzień drugi, a właściwie połówka dnia

Rano wychodzimy na zbocze leżące po przeciwległej stronie doliny w stosunku do naszych pierwotnych celów. Naszym celem jest Tschadinhorn (3017), który jest szczytem turystycznym, łatwym, ale niekoniecznie po tak dużych opadach śniegu. Momentami wypruwam na podejściu flaki ze względu na zapadanie się i potrzebę torowania. Ale to jest i tak znośne, ponieważ przez część trasy śnieg nas utrzymuje, delikatnie utwardzony temperaturą, jaka panowała w nocy. Docieramy w głębokim śniegu pod sam szczyt, gdzie czeka nas nieprzyjemny trawers i podejście stromym zboczem po lawinisku. Gdyby coś tu pod nami wyjechało to koniec – teren poniżej nie pozostawiał za wiele szans. Jednak czuliśmy się wystarczająco bezpiecznie, by kontynuować wejście. Dopiero pod samym szczytem zapala mi się pomarańczowa lampka, więc wycofuję się ze żlebu i trawersuję pod skałami. Po przedostaniu się na drugą stronę skał reszta drogi okazała się formalnością. W co najwyżej kilkanaście minut wchodzimy na wierzchołek. Piękna pogoda i piękne widoki. Przed nami Grossglockner, nieco z boku Granatspitzgruppe a jeszcze dalej Grossvenediger. Mnie interesuje Böses Weibl (3119) i grań, jaka go łączy z naszym wierzchołkiem. Wszystko

do pokonania, nawet w tych warunkach. Ale umęczylibyśmy się nieziemsko i potrzebowalibyśmy całego dnia. Zatem – wracamy. Wniosek z zejścia – gdybyśmy wyszli niecałą godzinę później to na szczyt byśmy nie weszli ze względu na zapadanie się w śniegu. A wyszliśmy koło 6:30 i to i tak było wg mnie zdecydowanie za późno.

Po zejściu do pozostawionych rzeczy w dolinie pakujemy się i schodzimy do samochodu. Musimy wrócić do dzieci najpóźniej nad ranem, zanim dziadki do pracy wyjdą.

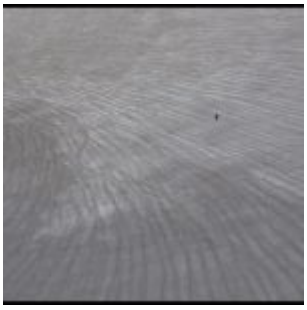
Ogólnie wariactwo – takie, jakie kochamy.

Tekst i zdjęcia: Dziku

PS. Po powrocie chwalę się głośno:
– Treningi dały efekt! Nic mnie nie boli!
– A ja przez ostatnie 4 lata się nie ruszałam i też mnie nic nie boli – odpowiada Aga.

Nie ma to jak podtrzymywanie na duchu i dodawanie pewności siebie przez bliskie ci osoby.

Dzień 3/3 – Trawers



Samotny wędrowiec na lodowcu.



Nie byłem sam! Cały czas towarzyszył mi ludzik z klocków. W tle Piz Roseg (3937 m).



Biancograt widziana z Piz Morteratsch. Widoczni nasi przyjaciele, którzy w 3-osobowym zespole idą po ostrzu grani.



Nie ma to jak poplumkać na czekanie. W tle po lewej Piz Scerscen a po prawej – Piz Roseg.



Oni na dół, ja do góry.

Trawers

Wszelkie nocne akcje powodują u mnie odczucie, jakby to było we śnie. Klasycznym dla mnie przykładem była nocna eksploracja Jaskini Czarnej w Tatrach. Do dziś wspominam to jako coś, co równie dobrze mogło mi się przyśnić. I ta przygoda przeczy temu, jakoby mogło chodzić jedynie o brak światła, bo w jaskini jest zawsze tak samo ciemno. Ewidentnie musi tu chodzić o stan umysłu w godzinach nocnych. Na pewno organizm inaczej działa między 0:00 a 4 rano niż w środku dnia.

I tym razem nocny trawers wspominam, jak coś na pograniczu snu i jawy. Spod schronu wyruszyliśmy po godzinie drugiej a nasza droga niemal pokrywała się z letnią ścieżką. Tyle tylko, że teraz ukryta ona była pod głęboką warstwą śniegu. W świetle czołówki (i tu muszę się przeprosić z siostrami Tikkiny) ciężko było mi ocenić zmieniające przede mną nachylenie stoku. Jednak jako dodatkowa kontrola pomagał na tym etapie Asi telefon z aplikacją zawierającą trasy.

Ten trawers to był inny świat, który znacznie bardziej złowrogo prezentował się pod nami, niż nad nami. Ukształtowanie terenu nie dawało za wielu szans w przypadku potknięcia lub utraty równowagi. A warto napomknąć, że na tym etapie szliśmy z całym dobytkiem, czyli każdy miał na plecach ciężki plecak. Nie pomagała też temperatura, bo śnieg nie był tak zmrożony, na jaki liczyliśmy. O ile jeszcze ja i Asia nie zakopywaliśmy się prawie wcale, to Sławek wyciągając nogi z dołków musiał się okrutnie napocić, żeby za nami nadążyć. Po blisko 3 km dotarliśmy jednak bezpiecznie do zejścia na lodowiec.

Trawers pokonany i nikt nie poleciał, a jak już wspomniałem lot w większości miejsc zakończyłby się zsunięciem i upadkiem z urwiska na lodowiec, bo nachylenie było zbyt duże, by tak po prostu wyhamować czekanem.

Przełęcz

Szczęśliwie kończymy trawers i schodzimy na lodowiec. Wiążemy się liną, podchodzimy do wysokości ok. 2800 m n.p.m. i zostawiamy depozyt w postaci dwóch plecaków. Punkt zapisujemy w GPS, na wypadek gdyby mocniej sypnęło śniegiem. Teraz naszym kolejnym celem jest przełęcz Venedigerscharte na wysokości ok. 3400 m. Asia coraz mocniej odczuwa dolegliwości żołądkowe, a to ją mocno osłabia. Pomimo tego w dobrym tempie, praktycznie bez odpoczynku przemy do góry.

Pogoda jest coraz gorsza, zaczyna sypać mokry śnieg. Zgodnie z prognozą nie mamy co dziś liczyć na poprawę pogody. Dlatego mamy umówiony limit czasowy, czyli porę, o której bez względu na wszystko trzeba ruszyć w drogę powrotną. Nie zamierzamy ryzykować utknięciem w górach, w których z godziny na godzinę wzrosnąć może zagrożenie lawinowe. Na tym wyjeździe zresztą z założenia miał być zawsze ustawiony zawór bezpieczeństwa. Jednak nasze koło ratunkowe zużyło się koło wysokości 3000 m n.p.m., kiedy to padł GPS w telefonie. Teraz idziemy momentami na ślepo zdając się tylko na ukształtowanie terenu, a to ewidentnie wskazuje, że zbliżamy się do przełęczy. Powoli stok się kładzie a nas uderza w twarz huraganowy wiatr. Gdzieś za plecami słyszę zdławiony okrzyk Asi.

Nie mam pojęcia co krzyknęła, ale nie muszę dopytywać. Cokolwiek to nie było, znaczenie mogło mieć tylko jedno: „SPIER…LAAAĆ!”. Bez słowa odwracam się na pięcie i pędzę na dół. Wejście w tych warunkach na lodowcowe plateu na przełęczy oznaczałoby samobójstwo. Jeśli nie zgubilibyśmy się od razu i nie zamarzli, to wpadlibyśmy do szczeliny, albo polecieli z nawisem na grani, albo najbardziej prawdopodobne: wszystko na raz.

Narzucone tempo, majdająca się lina pod nogami i do tego wszystkiego dolegliwości męczące Asię – to już nie miało w sobie nic z przyjemności. Chciałem jednak jak najszybciej wrócić do plecaków, które mógł zasypać śnieg, a GPS był już do

końca wycieczki bezużyteczny. Powiem szczerze, że gdybym był wtedy na miejscu Asi odwiązałbym się od liny i pewnie rozpłakał. A tymczasem ona bez słowa narzekania parła do przodu. Choć wiedziałem to już przed wyjazdem, to znów potwierdziło się, że mam do czynienia z najsilniejszą kobietą i partnerem na najtrudniejsze warunki. W zawierusze gubimy nasze ślady, jednak ukształtowanie terenu sprzyja nawigowaniu bez wsparcia urządzeń. W końcu wychodzimy z zadymki i w oddali widzimy na lodowcu nasze plecaki.

Marsz

Lodowcem schodzimy do zamarzniętych jeziorek, tym samym opuszczając teren wysokogórski. Przed nami 15 km marszu doliną z gospodą Postalm w 1/3 drogi. Tam spożyjemy zupę regeneracyjną i kubeł herbaty z cukrem, a to nas postawi na nogi. Zanim jednak tam dotrzemy z pobliskich urwisk przed nami obsypią się dwie lawiny lodowe. Stresuje mnie to mocno, gdyż lodowe bryły przelatując w poprzek szlaku nie dają żadnych szans. Widzę świeżo ułupane drzewo, które oberwało bryłką wielkości piłki lekarskiej. Niemal przebiegam odcinki usłane takimi lawinkami, wymijając lodowe fragmenty o rozmiarach od pięści do pralki. Tymczasem Sławek drepta jakby nigdy nic i humor go nie opuszcza. Ależ mi się ekipa trafiła nie do zajechania!

Popołudniu docieramy do auta, przebieramy się i natychmiast ruszamy do Polski. Sławek prowadzi przez większość drogi tak, jakby przez ostatnie kilka dni wypoczywał.

Od pobudki w schronie do momentu, kiedy znów położymy się w łóżkach minie 27 godzin. Prawdziwy maraton. Ale… zgodnie z założeniami: wszystko było pod kontrolą, a szczyty były tylko dodatkiem.

tekst: **Dziku**

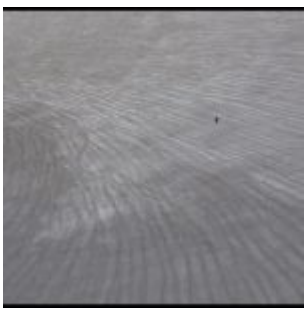
PS. Gdyby tego dnia dopisała pogoda, to nie mam najmniejszych

wątpliwości, że zdobylibyśmy Grossvenedigera (3666 m). Byłaby to wisienka na torcie, którego udeptaliśmy naszymi stopami przechodząc po śniegu około 60 km w zaledwie 3 dni.

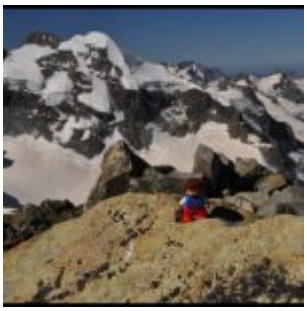


Nasza zimowa ekipa

Dzień 2/3 – Keeskogel



Samotny wędrowiec na lodowcu.



Nie byłem sam! Cały czas towarzyszył mi ludzik z klocków. W tle Piz Roseg (3937 m).



Biancograt widziana z Piz Morteratsch. Widoczni nasi przyjaciele, którzy w 3-osobowym zespole idą po ostrzu grani.



Nie ma to jak poplumkać na czekanie. W tle po lewej Piz Scerscen a po prawej – Piz Roseg.



Oni na dół, ja do góry.

Kees – termin ten jest używany w niektórych obszarach Tyrolu jako określenie lodowca i pozostałości po nim (morena). Pojawia się on w nazwach w rejonie Wysokich Taurów oraz Alp Zillertalskich. Zaś w zachodnim Tyrolu odpowiednikiem słówka Kees jest Ferner.

Po wysiłku z dnia poprzedniego dziś postanawiamy nieco odpuścić. Rano „składamy" biwak i ruszamy do schronu. W środku nikogo nie zastajemy, ale od razu widać, że tej nocy był tu niezły młyn. Jeden z mijanych narciarzy potwierdził, że spało dziś w nim jakieś 25 osób, podczas gdy miejsc jest tylko 14. Tym bardziej cieszymy się na naszą przeżytą przygodę z jamą śnieżną.

Po odpoczynku wybieramy się na pobliski szczyt – Keeskogel. Ponieważ jest to środek dnia, słońce operuje niemiłosiernie. Śnieg jest jednak na tyle osiadły, że nie zakopujemy się jakoś bardzo. Dosyć szybko wchodzimy na skalny grzbiet, gdzie po dużych kamieniach łatwo zdobywamy wysokość i osiągamy wierzchołek. Z wysokości 3291 m n.p.m. rozlega się wokół piękna panorama. Spoglądam na szczyty, na których miałem okazję już się kiedyś znaleźć: Muntanitz, Grossglockner, Wiesbachhorn…

Na szczycie spędzamy blisko godzinę. Aż trudno uwierzyć, że to jest marzec. Prawie nie czuć wiatru i jest bardzo ciepło. Na tej wysokości nawet latem taka pogoda to marzenie. Jest to też jedyne miejsce, gdzie łapiemy zasięg komórkowy. Jedyne od momentu, kiedy weszliśmy w dolinę, na teren parku. Wykorzystujemy ten moment, żeby dać znać rodzinie, że jesteśmy cali i zdrowi. Dodatkowo odbieramy prognozy pogody przesłane przez przyjaciół z Polski. Jeśli o tym mowa to nie wygląda to optymistycznie. Po wpisaniu się do książki wejść oraz po zrobieniu serii zdjęć zaczynamy schodzić do schronu. Wkrótce po do tarciu do niego wchodzi czwórka Czechów. Są bardzo mili, tłumaczą jaką trasą wchodzili dziś na nartach na Grossvenediger. To będzie nasz jutrzejszy cel. Już

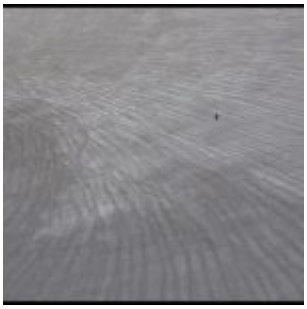
ustaliliśmy, że trzeba się położyć bardzo wcześnie i budziki nastawiamy na 1-wszą w nocy. O 2-giej, jeśli pogoda pozwoli, ruszymy z plecakami na trawers, by nad ranem dotrzeć w górne partie lodowca Obersulzbach Kees, wejść na przełęcz, zdobyć szczyt i uciec w dolinę przed załamaniem pogody i zagrożeniem lawinowym.

Ach, no i jeszcze kolejna klątwa rybna nas czeka. Ale to w opisie dnia trzeciego, kiedy to jedno z nas poczuje efekty zjedzenia pysznego podwieczorka.

tekst: **Dziku**

Dzień 1/3 – Śledzik po alpejsku

Sunę powoli w głębokim śniegu pod górę. Co kilkanaście kroków sięgam po garść śniegu i z ulgą topię go w ustach. I znów przechodzę kawałek. Byle do tego wzgórza nade mną, tam gdzie ludzi jeszcze przed chwilą widziałem. Od dłuższego czasu byłem sam jak palec i trochę dziwnie mi się zrobiło. Lubię być w górach sam, ale inaczej jest kiedy jest to planowane a inaczej, kiedy się swoją drużynę z własnej winy zgubiło. Dlatego teraz chcę dojść do tej śnieżnej kopuły, chociaż nikogo już na niej nie widzę. Czuję, że to będzie mój limit na dziś, że docierając tam dotrę jednocześnie w pobliże swojej granicy wytrzymałości. Granicę tę chyba sobie nieco na własne życzenie przybliżyłem, ale o tym, jak niemal zdobyłem nominację do nagrody Darwina dojdę za chwilę.



Samotny wędrowiec na lodowcu.



Nie byłem sam! Cały czas towarzyszył mi ludzik z klocków. W tle Piz Roseg (3937 m).



Biancograt widziana z Piz Morteratsch. Widoczni nasi przyjaciele, którzy w 3-osobowym zespole idą po ostrzu grani.



Nie ma to jak poplumkać na czekanie. W tle po lewej Piz Scerscen a po prawej – Piz Roseg.



Oni na dół, ja do góry.

Z Asią i Sławkiem rozjechałem się przy mostku, dokładnie po 15 km marszu doliną Obersulzbachtal. Nosiło mnie i czułem się na tyle mocny, że wydarłem do przodu bez odpoczynku z myślą, że zajmę miejsce w schronie. Kiedy wchodziłem na tzw. Kees (obszar zajmowany przez lodowiec i jego pozostałości), moi towarzysze byli małymi kropeczkami na tafli zamarzniętego jeziora. Do tego momentu miałem z nimi kontakt wzrokowy, ale teraz skręciłem za skały i sunę stromo pod górę. Dopiero teraz czuję, jak opuszczają mnie siły, gdyż od dłuższego czasu nie mam już nic do picia. Torując w śniegu coraz bardziej się w nim zakopuję i coraz wolniej idę. Wreszcie zrzucam plecak i siadam. Dotarłem do punktu, gdzie nie mam już co spalać i w tej chwili muszę coś zjeść. A ponieważ mam dość słodkiego to przypominam sobie o… śledziu w śmietanie. Ze śledziem historia była taka, że w piątek przed wyjściem z domu zerknąłem na datę ważności i okazało się, że jest do niedzieli. Żeby bilans wyszedł na zero to wyjąłem wtedy z plecaka czekoladę a upchnąłem pudełko śledzi. Dziś sobota, dzień przed terminem, więc to znakomity czas by się z nim rozprawić. Ukroiłem sobie dwie kromeczki i nawet masełkiem posmarowałem, wyjąłem sporka i paroma machnięciami wyczyściłem pudełko zagryzając chlebem. Przy drugiej kromce zacząłem się dusić. Ilość soli w tej rybnej porcji spowodowała taką suchość w ustach, że nie byłem w stanie przełknąć nawet okruchów. Ratunkiem był śnieg, który zacząłem wpychać do ust garściami.

Kiedy doszedłem do siebie, założyłem plecak i ruszyłem w głębokim śniegu pod górę. Choć przed chwilą mało mnie filet

nie zabił, to właściwie czuję się bezpiecznie. Mam ze sobą sprzęt biwakowy więc mógłbym się tu i teraz położyć i do rana nie wstawać. Nie wiem tylko jak zniosę męczące mnie pragnienie, bo sprzęt do gotowania i topienia śniegu niesie Asia.
Droga musiała ewidentnie inaczej prowadzić, więc już nie liczę, że mnie moja ekipa dogoni. W najgorszym wypadku oni zabiwakują osobno, ja osobno a jutro spotkamy się np. w schronie. Szkoda tylko, że zasięgu nie ma, można by się było wzajemnie uspokoić przed nocą, że wszystko właściwie jest okej.

Dowlokłem się do kopułki na wysokości 2400 metrów. Ściągam plecak i wiem, że go już dziś nie założę. Z drugiej strony wzgórza pojawiają się narciarze. Dowiaduję się, że wszyscy oni zamierzają nocować w schronie i że niestety nikt z nich nie widział moich towarzyszy. Szybko oddalają się i od tej pory wokół mnie panuje niezwykła cisza, przepełniona słońcem i zapachem śniegu, czyli taka, jaką kojarzę jedynie z popołudniowym słońcem na rozgrzanym, rozmiękłym lodowcu. Wdrapuję się na skałę, siadam i na dłuższą chwilę zamykam oczy. Natychmiast ciało i dusza mi się uspokajają i staje się dla mnie oczywiste, że nie spędzę tej nocy samemu.

Zeskakuję ze skały i idę wzdłuż wzgórza wypatrując przyjaciół. Jeśli narciarze ich nie mijali tzn. że pewnie idą od drugiej strony, podobnie jak ja przyszedłem. I nie mylę się, gdyż szybko dostrzegam nieruchome punkty. Czekam do momentu jak zaczną się posuwać i wiem już, że to „moi”. Schodzę na przełaj, najkrótszą drogą, żeby się z nimi spotkać. Ze szczęścia chcę zabrać od Asi plecak ale odmawia – chce go donieść sama do końca. Wspólnie podchodzimy pod kamień, gdzie zostawiłem swój plecak. Proponuję, żeby spędzić tu noc, mając na uwadze zmęczenie i ilość narciarzy, jaka szła w kierunku schronu Kürsingerhütte. Propozycja zostaje przyjęta.

Z zawrotami głowy zaczynam kopać jamę śnieżną, ale szybko opadam z sił. W tym, nazwijmy to „krytycznym” momencie

zaczynamy działać jak zgrana ekipa: Asia rozkłada garnki i topi śnieg, Sławek kładzie się na śniegu i dłubie łopatą. Kiedy potrzebuje odpoczynku, to wtedy ja wybieram śnieg i potem znowu – Sławek kruszy ścianki, a ja wybieram. W międzyczasie Asia podaj nam kubki z wodą i jedzenie. Dzięki tak sprawnej akcji mamy sporych rozmiarów podkop, w którym mieści się Sławek i Asia. Ja zamykam swoim ciałem szerokie wyjście jamy mając wciąż nad sobą rozgwieżdżone niebo. Moi towarzysze musieli się już nieco zregenerować, bo snują plany na jutro. Ja już nie odpowiadam, wyczerpany zasypiam.

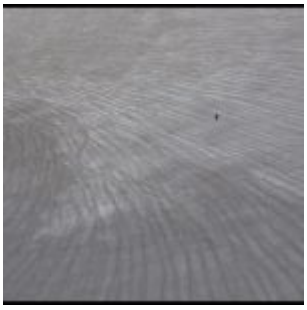
Biwak w jamie – wydaje się być pójściem po najmniejszej linii oporu. No bo skoro np. nie mamy już siły iść, to czask prask i śpimy w jamie. To ryzykowne podejście, zważywszy ile należy włożyć wysiłku w przygotowanie takiego noclegu. Szczególnie, kiedy pogoda nie pozwala na pójście na łatwiznę i po prostu położenie się na śniegu albo w jakimś zagłębieniu. Wystarczą minimalne opady śniegu albo wiatr i porządna jama może okazać się zbawienna. Wykopanie jej jednak może wymagać nawet paru godzin ciężkiej pracy. Często takie przedsięwzięcie kończy się w najlepszym wypadku mokrymi rękawiczkami, śniegiem za kołnierzem i w spodniach. Pamiętajcie, by na taką akcję zachować siły. Większa liczba ludzi („siły roboczej”) wcale nie musi być tutaj ułatwieniem – im więcej osób, tym potrzeba więcej miejsca.

Budzę się o 1 w nocy i wydaje mi się, że jest dzień. Księżyc z taką siłą oświetla okolicę, że nie mogę się powstrzymać, by nie poświęcić godziny snu dla kilku nocnych zdjęć. Nie jest to duży problem, gdyż noc jest ciepła i bezwietrzna. Do zbudowania statywu wykorzystuję zamarznięte kawałki śniegu, więc mróz był na pewno, ale nie sądzę by był on większy niż te kilka stopni poniżej zera. Kiedy po zrobieniu zdjęć kładę się do śpiwora niemal natychmiast zasypiam.

Ranek wita nas piękną pogodą. Zapraszam do opisu dnia drugiego.

tekst: **Dziku**

Barre des Écrins – flashback



Samotny wędrowiec na lodowcu.



Nie byłem sam! Cały czas towarzyszył mi ludzik z klocków. W tle Piz Roseg (3937 m).



Biancograt widziana z Piz Morteratsch. Widoczni nasi przyjaciele, którzy w 3-osobowym zespole idą po ostrzu grani.



Nie ma to jak poplumkać na czekanie. W tle po lewej Piz Scerscen a po prawej – Piz Roseg.



Oni na dół, ja do góry.

Seven alpinists were killed on Tuesday, 15 September 2015 when they were hit by an avalanche on Dôme de Neige, in France's Ecrins massif.
According to www.ledauphine.com, the German and Czech mountaineers were ascending in three separate but close groups and were hit by the avalanche at circa 3900m, below the Barre des Écrins on the final traverse that leads to the summit of Dôme de Neige (4015m).

Powyższą informację przekazał nam Grzesiek zaledwie dwa tygodnie po naszym powrocie z tego samego miejsca. W takim terenie jak tamten nie mieli zbyt dużych szans, choćby ze względu na szczeliny, seraki i stromy stok. Zginęło 4 Niemców i 3 Czechów. Życie wygrało tym razem 2 Hiszpanów, którzy ze względu na warunki w tym dniu zmienili plany i zrezygnowali z wejścia na szczyt.
Dlaczego 3 niezależne grupy alpinistów znajdowały się na tyle blisko siebie, że dosięgnęła ich ta sama lawina? Być może zadecydował czynnik psychologiczny. Kto błądził po lodowcu ten

wie, ile zmienia w psychice natknięcie się na czyjeś ślady. Jeśli nikt poza nami nie idzie na szczyt to wyzwala to sporo wątpliwości. Może to nie ta droga? Może droga ok, ale pora nieodpowiednia? Może inni wiedzą o czymś o czym ja nie wiem? Na przykład, że ma się pogoda zepsuć?
Co innego gdy na tę samą górę przed nami i za nami idą inne zespoły. W takim wypadku *musi* być bezpiecznie. Bo przecież by nie szli.

Tego typu pułapki czyhają na wszystkich. Ech – trudny temat.



Mistyczny widok gór o poranku

Parking

Pod Refuge Cezanne (1874) podjeżdżamy popołudniu po długiej, dwudniowej drodze. Przejechaliśmy 1530 km, częściowo włoskimi autostradami, gdzie dopadł nas niezwykły grad. O szybę rozbijały się owady wielkości małych ptaków. Rozpadały się na szybie z efektem, jakby ktoś w nas jajkami rzucał. To było co

najmniej dziwne.
Do kolejnego ranka będzie lał deszcz, ale jutro ma się rozpogodzić. Gdzie się dziś położyć? Jeśli rozłożymy namiot, to na następny dzień będziemy musieli mokry taszczyć do góry. Decydujemy się przespać w bagażniku samochodu. Bagaże spoczywają na przednich siedzeniach i na kokpicie. 3 osoby wygodnie rozkładają się na pace w Zafirze. Jest naprawdę cacy.



W bagażniku Zafiry niczym w autobusie na wycieczce szkolnej

Do bazy na lodowcu

Ranek jest wilgotny, mglisty, ale ewidentnie się rozpogadza. Zanim się pozbieramy do wyjścia jest godzina 9-ta i świeci słońce. W świetnych humorach zmierzamy do schroniska Refuge du Glacier Blanc (2542). 670m przewyższenia pokonujemy w nieco ponad 2h. Po drodze mijamy na szlaku świstaka, który nic z turystów sobie nie robi i bezczelnie leży dosłownie w zasięgu ręki.



Bezczelnus Świstakus

W schronisku zamawiamy zupę (pewnie jedną na naszą trójkę jak nas znam) i ruszamy wyżej, na morenę – w kierunku lodowca Glacier Blanc. Pamiętam kilka szczegółów trasy. Prowadzi ona kamienistą ścieżką, jak to zwykle na morenie bywa. Oznakowany szlak czasem przecięty jest świeżo oberwaną skałą. Jest to nieprzyjemna droga. Pamiętam, że jeden z turystów traci równowagę i zsuwa się wiele metrów w dół. Na szczęście nie robi sobie krzywdy.

Około 14-tej schodzimy na lodowiec. Naszym oczom ukazuje się *nasz* szczyt. Wygląda imponująco z tej perspektywy.



Szczyt w całej okazałości

Szczeliny na lodowcu nie sprawiają trudności a my nie czujemy zagrożenia. Idziemy niezwiązani, ale czy do samego końca? Tego nie pamiętam. Pamiętam za to, że w pewnym momencie skraj lodowca odsłonił stosy stalowych puszek. Starych i mocno zardzewiałych. Nie mam pojęcia jaka historia się z nimi wiąże i dlaczego tak wielka ilość puszek spoczywa w tak ładnym miejscu. Zresztą miejsce to wyznacza odbicie do schroniska Refuge des Ecrins (3170). Nie podchodzimy jednak do niego, ponieważ po wytopieniu lodowca zostało wysoko na skale. Nasz cel na dziś jest inny. Docieramy na wypłaszczenie na wysokości blisko 3300 m i tu rozbijamy namiot.

Szczyt

Jest 26 sierpnia. Około 5 rano ruszamy w górę. Kluczymy pomiędzy szczelinami obserwując majaczące nad nami lodowe seraki. Niektóre są olbrzymie jak budynki. Wyglądają, jakby się miały zaraz oddzielić od reszty lodowej masy i runąć w

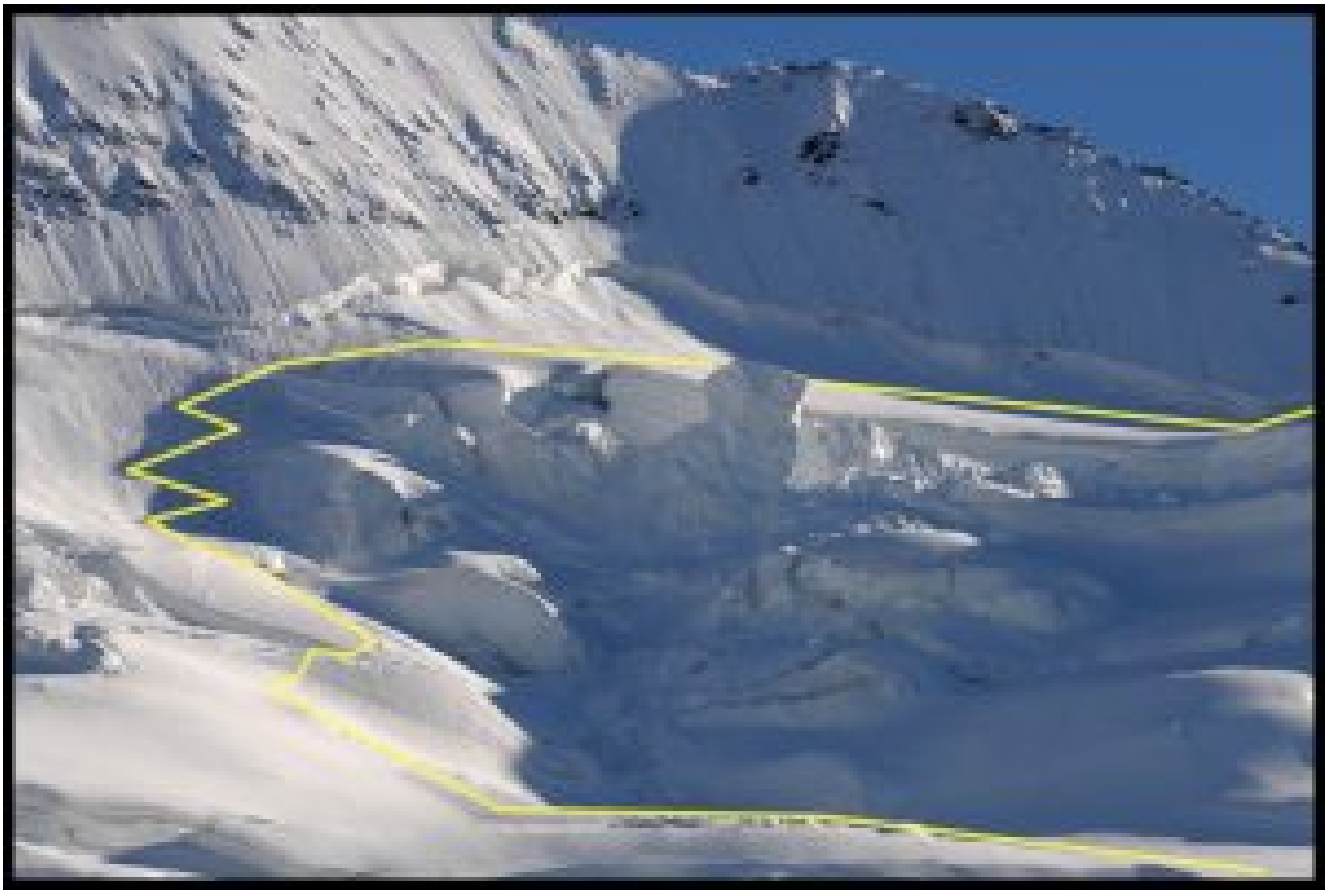
dół. Wkrótce niektóre z nich to zrobią. Czy dziś? Jutro? Za 2 tygodnie albo za 2 miesiące? Nie chcemy się przekonać, więc podążamy tak szybko jak możemy, bez możliwości odpoczynku. Na szczęście droga jest dosyć intuicyjna, do tego w połowie stoku wschodzi słońce i możemy poczuć się pewniej. Na ostatnim trawersie doganiamy parę, która wyszła przed nami. Zmagają się z kłopotliwym odcinkiem – śnieżnym uskokiem pod samą granią.



Śnieżny uskok

Tu już możemy spokojnie przysiąść i poczekać, złapać tchu. Wprawdzie to właśnie w tym miejscu za 2,5 tygodnia zginie 7 osób, ale wtedy będą inne warunki. W następnych tygodniach spadnie kilkadziesiąt cm śniegu.

Gdyby poniższe zdjęcie zrobione byłoby w momencie naszego odpoczynku, to bylibyśmy trzema czarnymi kropkami na ostatnim trawersie, czyli na górnym, prawie poziomym odcinku żółtej linii.



Bylibyśmy małymi kropkami w świecie lodowych formacji

Bez większych problemów pokonujemy uskok i wchodzimy na przełęcz. Tu zaskoczeni patrzymy na niemal pionową wysoką ściankę. W pierwszej chwili przymierzam się do niej z palcami i rakami. Jednak trudności wspinaczkowe są, jakby to powiedzieć… no są. To nie jest teren, po którym się idzie pomagając rękami, lecz jest to już próbka prawdziwej wspinaczki. Czystości stylu nie zachowuję i łapię się za rozwieszone poręczówki. Podciągając się na linach dochodzę do stanowiska. Upewniam się, że moi towarzysze poradzą sobie ze ścianką i ruszam na ostatni odcinek dzielący nas od szczytu. Grań jest ostra, trzeba balansować na niej z wyczuciem, bez chojrakowania. Chwyty są jednak duże i pewne. O 10:45 stajemy we trójkę na szczycie.



4-tysięcznik zdobyty!

Powrót – jak zawsze – w pełnym skupieniu. Zejście jest trudniejsze, i choć jest to frazes powtarzany nieskończoną ilość razy to za każdym razem mocno sobie to wbijam w głowę. Niejeden już doświadczony alpinista w rozluźnieniu po zdobyciu szczytu popełnił tragiczny w skutkach błąd. Mając te nauki w głowach docieramy bezpiecznie do ścianki schodzącej z Pic Lory. Teraz zjazd na przełęcz i możemy chwilowo się wyluzować.



Zjazd z Pic Lory

Idziemy jeszcze z Agą na Dôme de Neige des Écrins (4015) – mało samodzielny wierzchołek, ale zawsze to kolejna 4-tysięczna kopułka do kolekcji. Stamtąd przynajmniej można na spokojnie podziwiać widoki, bez obawy, że się obsunie noga. Można sobie tam nawet tańczyć, obserwując majaczący w oddali Mont Blanc. Trochę bez sensu – bo po co tańczyć na szczycie.



Widok z Dôme de Neige des Écrins

Wracamy na przełęcz i namawiamy Grzecha na wyskok na wierzchołek, bo przecież to tylko 15 minut stąd! „Będziesz żałował, że odpuściłeś” – wmawiamy mu z Agą. No i dał się namówić i poszedł. My sobie podjedliśmy, popiliśmy, odpoczęliśmy… a Grzecha nie ma. Już zniecierpliwiony podchodzę na górę, krzątam się, niepokoję. W końcu wraca nasz przyjaciel, wygląda na zadowolonego, lecz tłumaczy, że miał kryzys i prawie się zrzygał. Hmmm… ktoś tu jest w ciąży? Psst – to nie Grzechu.

Schodzimy do namiotu tą samą trasą, którą wchodziliśmy. Nie jest już tak straszna, a przede wszystkim można teraz nią niemal zbiegać nie wystawiając się na strzał pod olbrzymimi serakami.

Dialog przy namiocie:
– Masz Grzechu szczęście, bo dołączyłeś do nas w momencie, kiedy się zdecydowaliśmy na większe trudności niż człapanie.
– Za późno dołączyłem… – wymamrotał Grzechu pod nosem.

***

Droga, jaką przeszliśmy na szczyt przebiegała mniej więcej tak (bez kombinowania, puściło nas tak jak normalna trasa przebiega):



Droga na szczyt

Powrót

Tego dnia schodzimy jeszcze do schroniska Refuge du Glacier Blanc na wysokość 2542 m. Tu, na skałach szykujemy się do spania. Rozstawiamy namiot, ale kładziemy się na zewnątrz pod rozgwieżdżonym niebem. W nocy budzimy się jednak w wilgotnych z wierzchu śpiworach, które pokryła rosa. Chowamy się do namiotu i smacznie śpimy.

Rano przed oczami mamy piękny widok na szczyty Mont Pelvoux. A może by tak…



Mont Pelvoux

Tekst: Dziku*

*napisane 3,5 roku po przedstawionych w tekście wydarzeniach

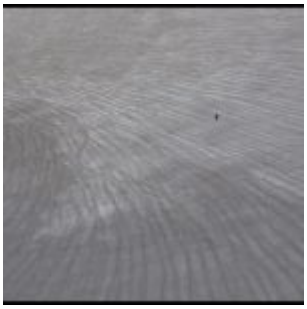
Mont Blanc „Drogą Papieską”

Cel – Monte Bianco (4808 m n.p.m.)

Kiedy – 25-31 lipiec 2015

Kto – Dziku & Aga & Grzechu & Marcin

Tekst i zdjęcia – Dziku



Samotny wędrowiec na lodowcu.



Nie byłem sam! Cały czas towarzyszył mi ludzik z klocków. W tle Piz Roseg (3937 m).



Biancograt widziana z Piz Morteratsch. Widoczni nasi przyjaciele, którzy w 3-osobowym zespole idą po ostrzu grani.



Nie ma to jak poplumkać na czekanie. W tle po lewej Piz Scerscen a po prawej – Piz Roseg.



Oni na dół, ja do góry.

Piszą w periodykach

Droga na Mont Blanc od strony francuskiej przez ostatnie tygodnie jest „zamknięta”. Nie wiem dokładnie na czym w praktyce polegało to zamknięcie (szlaban? tabliczka? drut kolczasty?) , ale na pewno było to podane do publicznej informacji. Zresztą, zerknijmy do sieci:





A więc co najmniej 2 wypadki śmiertelne w „kuluarze śmierci” pod Gouterem. Why? Spadające kamienie. Why? Because ciepło. Bardzo ciepło – czasem zero stopni dopiero na 4800 metrach. Czyli podsumowując: rosyjska ruletka przy pięknej pogodzie na „najłatwiejszej” drodze. Na tej, co to nią ponoć dzieci i staruszki wchodzą. Przynajmniej w opinii tych, co o zdobywaniu alpejskich szczytów wyobrażenia nie mają i tyle wiedzą, ile na niefachowym portalu wyczytali. A jak się kiedyś wybiorą to się przekonają, co to znaczy względność. Bo podczas akcji górskiej wszystko jest względne. Jedno i to samo może pomóc i zaszkodzić. Nadmiar i niedobór jedzenia, wychłodzenie i przegrzanie, towarzystwo i brak towarzystwa, strach i odwaga. Jedynie nie potrafię dla odwodnienia dobrać pary. Bo w górach nie da się wypić za dużo. No chyba, że przypomnę sobie

wmuszanie we mnie przez Agę kubka herbaty na Kazbeku, co się natychmiastowym rzygiem skończyło.

Którędy na szczyt

My nie chcemy przekładać wyjazdu i zamknięciem francuskiej drogi wcale się nie przejęliśmy. Weszliśmy na Mont Blanc w 2009 od strony włoskiej – wejdziemy i teraz.
W składzie oprócz mnie: Aga, Grzechu i Marcin. Doświadczenie alpejskie: od „zielonka" do osób doświadczonych. Oczywiście mierząc to miarą ilości wyjazdów i wejść na alpejskie szczyty, bo raczej nie miarą obycia ze sprzętem. Ja i Aga to zgrany duet, na koncie mamy już sporo szczytów. Wśród największych przygód wymienię taniec z czterotysięcznikami na Monte Rosa w 2011, zimowe wejście na Mont Blanc w 2012 oraz picie herbatki na 7134 m n.p.m. w 2013. Ta zimowa przygoda z Mont Blanc to skończyła się dobrze jedynie jakimś fartem. Wtedy się nie bałem, a dziś myśląc o tym boję się jak diabli i nie sądzę, bym się drugi raz na coś takiego pisał.
Słabą stroną naszego duetu jest to, że jesteśmy teraz małżeństwem, więc czasem kłócimy się o duperele. Ale bez przesady – w końcu góry to to, co nas połączyło, i to na tyle mocno, że zaledwie tydzień lub dwa tygodnie przed tym wyjazdem począł się nasz syn. Sam się począł, bo trochę nieplanowanie. Dlatego też na wyjeździe, który tu opisuję jeszcze nie mamy o tym pojęcia.
Kolejny członek ekipy to Grzechu, dusza bardziej podróżnika niż alpinisty. Ale to gość, który w ostatnich miesiącach wszedł na 3 pięciotysięczniki. Najpierw przykładnie z ekipą zaliczył Kazbek w Gruzji, a następnie ekipę i sprzęt odesłał do domu, a sam, *w sandałach (jak to Grzechu)* wszedł na Damawand i Ararat. Przygód z tego wyjazdu mógłbym słuchać i słuchać. Zresztą do tej pory jak widzę bigos z Lyofooda to przypomina mi się Grzech, któremu bigos ten na wysokości wylatywał wszystkimi otworami, łącznie przez nos.
No i Marcin – harcerz z Bieszczad. Marcin jest trochę jak Laura w 2009 roku, kiedy to też wchodziliśmy „Drogą Papieską". Czyli bez doświadczenia wysokogórskiego, ale wspaniale

zmotywowany i silny. Różnica jedynie taka, że Laura to raczej sportsmenka, a u Marcina z regularnym treningiem to w tym okresie było nie po drodze. W każdym razie pokazał, że można wejść na najwyższy szczyt Alp stosując trening polegający na chodzeniu w gumiakach z psem wokół domu.
Etap aklimatyzacji na Gran Paradiso na razie pominę i skupię się na wejściu na ten główny cel – Monte Bianco.

Start

27-go lipca przyjeżdżamy na pole namiotowe do Courmayeur. Mamy już z trasy okazję zerknąć na nasz cel od południowej strony. Kawał bydlaka:



Mont Blanc od południowej strony

Na polu namiotowym robimy szkolenie pt. „jak wyjść ze szczeliny”. Nikt z nas jeszcze ze szczeliny nie wychodził, ale tak na chłopski rozum to można sobie wyobrazić jak to jest i co należy zrobić: w pierwszej kolejności należy ściągnąć buty i skarpetki, następnie rozebrać się do bokserek, zawisnąć w uprzęży i zapierając się o drzewo wołać do przejeżdżających

samochodów.



Szkolenie lodowcowe

Tak, teraz możemy spać spokojnie i na drugi dzień bogatsi o zdobytą wiedzę ruszyć do boju. Ale najpierw to pojedziemy na pizzę, bo w końcu to Włochy.
Rano 28-go lipca podjeżdżamy nieco samochodem, po czym ruszamy z wyładowanymi plecakami. Początkowo droga do Combal – wygodna, szeroka, przejezdna dla samochodów. Potem wdrapujemy się na lodowiec morenę lodowca Miage – tu zaczyna się nasza droga krzyżowa. 5km człapania i wyszukiwania drogi wśród olbrzymich bloków skalnych i drobnej kruszyzny, które wypełniają każdy fragment lodowca. Pod kamieniami lód i szczeliny, do których spadają trącone głazy. Dziś jednak jesteśmy wypoczęci i zmotywowani widocznym na skale punktem – to schronisko Gonella (3071 m). Nasz cel na dziś to dotrzeć do niego i gdzieś w jego pobliżu rozbić namioty.
Po przeczłapaniu lodowca Miage mamy do pokonania 500 metrów przewyższenia wspinając się ubezpieczoną stalowymi linami i

klamrami ławą drogą wspinaczkową. Łatwą dla ludzików z lekkimi, małymi plecaczkami, my niestety znów dźwigamy toboły. Może nie jesteśmy tak drastycznie dociążeni jak w 2009, ale i tak wory powodują duży dyskomfort. Błędem było nie zabranie wody do bidonu u wejścia w skałę. Letnie słońce dało popalić i kiedy po paru godzinach docieramy do schronu Marcin jest praktycznie odwodniony. Wiele by dał za kroplę płynu, lecz niestety po drodze skały były zupełnie suche i nie minęliśmy żadnego cieku wodnego. Marcin przeżył na końcówce traumę, natomiast Aga zadowolona – podobało jej się to karkołomne podejście, pomimo sporego obciążenia na plecach.



W odnowionym schronie przy schronisku Gonella zostajemy przez dwie noce. Potrzebujemy regeneracji, poza tym pogoda nie zachęca do wyjścia wyżej. Nie znalazłem też w pobliżu żadnego miejsca na namiot, więc nie było wyboru – decydujemy się zapłacić za 2 noclegi. Tylko, że… naszym zwyczajem – nie mamy gotówki! Marcin nas ratuje, bo dokonuje operacji i akrobacji by przetransferować pieniądze z konta na konto innego schroniska. Ci potwierdzają, że przelew dotarł i uff… nikt nas

na deszcz i na lodowiec nie wyrzuci, a my możemy spędzić cały następny dzień na graniu w gry typu robaczki, karciany tysiąc i Dobble.

Odmieniony lodowiec

Jest przedostatni dzień lipca 2015 roku. Kluczymy między szczelinami, coraz mniej pewni siebie. Przeżywam, że lodowiec po raz kolejny nam sprawia niespodzianki. Już w 2009-tym stwierdziłem, że opisy drogi sprzed lat można do szczeliny wrzucić. Teraz w 2015-tym to znów inna bajka. Czemu tu się dziwić, skoro tak stromy lodowiec jak ten każdego dnia wygląda nieco inaczej, to cóż dopiero, kiedy się go widzi raz na 6 lat. Parokrotnie znaleźliśmy się w trudnej sytuacji, szukając wyjścia z labiryntu szczelin. Jeden moment szczególnie zapadł mi w pamięci, kiedy to stojąc na olbrzymich lodowych blokach dotarliśmy w ślepy zaułek. Nie sposób było przeskoczyć na drugą stronę i musieliśmy wrócić niżej by poszukać innej drogi. Podczas całej tej eskapady nie zrobiłem ani jednego zdjęcia. Byłem tak skupiony prowadząc grupę, że nie chciałem niczym się rozkojarzyć. Zresztą, najnormalniej w świecie bałem się. Chcę okazać górze najwyższy respekt, a manewry między szczelinami z aparatem w ręce mogłyby wyglądać nieco lekkomyślnie. Zresztą, sytuację w jakiej się znaleźliśmy w pełni oddałbym tylko filmując nas z wysokości, np. z drona.



Ludzie na takim lodowcu to drobinki

Obóz

W końcu docieramy w pobliże grani i rozbijamy obóz pod kamieniem, który jest rozmiarów naszego namiotu. Jest to wysokość około 3700 m, jednak czujemy pozytywny wpływ aklimatyzacji i troje z nas decyduje się popołudniu na dalszą wspinaczkę. Zwiad ma na celu odnalezienie drogi na przełęcz Aig. Grises (3810 m) i przejście kawałka grani w celu oceny warunków. Sprawa nie jest taka oczywista, jakby się wydawało. Lodowiec znacznie „osiadł” i aby przedostać się z niego na przełęcz, trzeba trochę pokombinować. Istotna informacja jest również taka, że nikt poza nami (podobnie jak to było w 2009 roku) tą drogą na szczyt w tym czasie nie wchodził. Jedyne ślady jakie widzieliśmy to te, które zostawił przewodnik z klientem schodzący na włoską stronę. Wejścia na szczyt dokonali oni normalną drogą od Chamonix. Ci jednak kluczowe miejsce ze szczeliną oddzielającą nas od stromego lodu prowadzącego na przełęcz pokonali zeskakując na niższy poziom. My do góry na kilka metrów nie podskoczymy, a przewieszony lód

skutecznie broni się i nie puszcza nas dziabiących go prostym czekanem. Ostatecznie decydujemy się na wejście żlebem od prawej strony. Pokonujemy ten paskudny teren z sypiącymi się kamieniami i skręcamy w prawo w kierunku grani Bionassey. Sam szczyt Aiguille de Bionnassay (4052 m) przed nami prezentuje swoje wdzięki niczym Beyonce na okładce płyty, a doskonałym uzupełnieniem widoku jest dwójka wspinaczy podążająca krawędzią grani.



Bionassey nazwaliśmy Beyonce

Penis na lodowcu

Wracając ekscytujemy się widokiem naszego namiotu na powierzchni lodowca pod nami. Ale zaraz, co to? Za namiotem widzimy zarys wielkiego członka wydeptanego w śniegu. Malutki z tej odległości Marcin człapie po jego konturach. Musiał się nasz przyjaciel lepiej poczuć, skoro podjął się tak ryzykownego i twórczego zadania. Aga krzyczy z całych sił, by wrócił do namiotu, bo do szczeliny wpadnie. Marcin niechętnie

zawraca, a jak nam później się zwierzył, było mu smutno bo nie wydeptał kropki na końcówce. No to by było tyle, jeśli chodzi o nieurażanie góry. Zmartwiłem się przez chwilę, że góra się za to zemści, ale przecież Mont Blanc nazywany jest… Białą Damą! Taki malunek to nie kręgi w zbożu, więc powinien się Damie spodobać a wręcz ją ułaskawić.



Widok z namiotu

Atak szczytowy

Nad ranem przeprowadzamy atak szczytowy. Jeszcze po ciemku wchodzimy na przełęcz i pokonujemy ostry jak brzytwa fragment grani.skalna gran! Idziemy niezwiązani liną, więc każdy odpowiada za siebie. Trzeba najostrożniej jak tylko się da stawiać każdy krok. Pomimo ciemnej nocy mamy świadomość pustki pod nogami. Potknięcie, upadek wiązałby się z lotem setki metrów w dół, nie do przetrwania w jednym kawałku. Po wyjściu na plateau na wysokości 4 tysięcy metrów teren nie wydaje się być już niebezpieczny. Białe pole pięknie oświetla księżyc, a

niebawem nasza droga połączy się z tą od strony Gouter. Tam już widzimy sznur czołówek, gdyż jak się okazuje wczoraj odblokowano trasę i ponownie ruszyły tamtędy liczne ekipy. Najbardziej teraz dokucza wysokość. Już koło godziny 6-tej stoimy przed Vallotem. Tutaj Marcin zostaje na dłużej ze względu na kupę. Ta kupa mogła całkowicie pokrzyżować plany, ponieważ opóźnienie z nią związane fatalnie wpłynęło na psychikę właściciela. Kiedy zdyszany uporał się z uprzężą, zobaczył dwa oddalające się punkciki – to Aga i Grzechu stąpający już po grani Bossons. Pomiędzy nimi a Vallotem kolejny punkt – to Dziku robiący zdjęcia. Jak tam dojść? Jak ich dogonić? Ten kryzysowy moment jednak przezwycięża i krok po kroku zbliża się do upragnionego celu. Ten ostatni odcinek sprawia mu sporą trudność, ale cóż się dziwić – jesteśmy powyżej 4500 m i w płucach po każdym kroku brakuje tlenu. Wydolność organizmu na tej wysokości spada o kilkadziesiąt procent nawet u zaaklimatyzowanej osoby.



Krajobraz księżycowy

Przed 9-tą stajemy na szczycie. Nie pamiętam już dokładnie co wtedy czułem, ale na pewno mocno ścisnęło mi gardło. Choć od początku wiedziałem, że Marcin da z siebie wszystko, żeby osiągnąć szczyt i że jest on niezwykle silny i wytrzymały, to jednak rozpiera mnie duma widząc, czego dokonał. Ściskamy się i gratulujemy, lecz z tyłu głowy wciąż kołacze się myśl, że przed nami długa i niebezpieczna droga w dół. Na ostateczne ogłoszenie zwycięstwa przyjdzie czas przy samochodzie. I w życiu bym się nie spodziewał, że nastąpi to jeszcze tego samego dnia, że wieczorem wykończeni znajdziemy się na parkingu 3300 metrów niżej.



Reprezentacja z Malerzowa na „dachu Europy”

Powrót

Ze szczytu schodzimy tą samą drogą, jednak teraz zamiast księżyca świeci nad nami słońce. Zejście granią nie stanowi problemu, chociaż pamiętam poślizgnięcie i zachwianie się Marcina, które mogło się skończyć tragicznym upadkiem gdzieś

do stóp góry po włoskiej stronie. Grań Bossons, którą przechodziłem już kilkakrotnie nie stanowi jakiegoś specjalnego zagrożenia. Nie ma na niej niebezpiecznych nawisów i jest na tyle szeroka, by mogły się na niej mijać zespoły. Jednak należy być tam nieustannie czujny i nie można dać oszukać psychiki, tym bardziej, że przy zejściu zwykle spada koncentracja i następuje rozluźnienie. Dodatkowo w naszym przypadku nadal kontynuujemy marsz w stylu „z pogardą dla sprzętu”, tzn. idziemy niezwiązani liną. Ma to szczególne znaczenie po dojściu do ostrej grani prowadzącej na przełęcz Grises. Tutaj idziemy lodowym stokiem tuż poniżej ostrza grani, stok jest stromy a nasze kostki niemiłosiernie powyginane. Jestem zestresowany poczwórnie – jeśli ktoś się poślizgnie, potknie – to dla tego kogoś koniec. Na zatrzymanie się na takim stoku pojedynczej osoby szanse są znikome. Jeśli ześlizgnąłby się cały zespół szarpnięty przez linę, która go wiąże – szanse oceniam jako zerowe. Dlatego idziemy wiedząc, że należy skupić się na sobie i tylko na sobie. A dokładnie na tym, jak stawiamy stopę, jak zęby raków wbijają się w lód. Jednak idąc jako ostatni i obserwując swoją kompanię nie potrafię pozbyć się uczucia troski o nich. Wyciągam aparat i robię zdjęcia. Inaczej niż to było na lodowcu tym razem nie widzę nic w tym niewłaściwego. Teraz droga jest jasna i każdy wie co ma robić i niewiele ode mnie zależy.



Decyzja

W końcu dochodzimy do przełęczy i szybko schodzimy do namiotów. Tutaj śmiechy i popas – odpoczynek, obiad i regeneracja, zakłócone jedynie kamienną lawiną. To była sytuacja dziwna, warta wzmianki. Bo kiedy tak chłopaki żartowali przed namiotem a ja z Agą oporządzaliśmy się w wejściu do naszego lokum – nagle zobaczyliśmy jak oni w niekompletnym ubraniu i bez butów zbiegają w dół lodowca. Zdezorientowany rozglądam się i widzę jak powyżej, zaraz obok miejsca, którym wchodziliśmy na przełęcz spadają skały. Lecą w kierunku namiotów, lecz znikają w szczelinie brzeżnej. Chłopaki po kilkunastu krokach zatrzymują się i wracają. Jesteśmy nadal bezpieczni. Ale czy na pewno? Ktoś podejmuje decyzję, że lepiej jeszcze dziś zacząć schodzić. Jest godzina 14-ta… czemu nie?

Nowa pozycja w apteczce

Lodowiec pokonujemy w dół bez większych problemów. Schodząc jest z reguły łatwiej, bo więcej widać i łatwiej się szczeliny

przeskakuje. Dochodzimy do schroniska Gonella, gdzie para turystów pakuje się z plecakami do helikoptera zaparkowanego na platformie. Kusi mnie by zapytać o miejsce dla Agi, jednak nie podejmuję się takich pertraktacji z pilotem. Helikopter odlatuje i za chwilę wysadzi turystów w mieście, podczas gdy my… właśnie wchodzimy na naszą drogę krzyżową. Pokonujemy 500 metrów przewyższenia po skałach i śniegu i schodzimy na lodowiec Miage. Po paru kilometrach Aga się ledwo wlecze. Proponuje nocleg pod kamieniem na tym skalnym rumoszu. Wybijamy jej to z głowy ze względu na kiepską prognozę pogody. Co, jeśli w nocy zacznie lać i będzie padało cały dzień następny? Aga nie daje za wygraną i nie chce kontynuować marszu. Doprowadza mnie tym do szału, bo choć też jestem bardzo zmęczony to kieruję się głównie logiką. Definicji słowa empatia wyszukam dopiero po powrocie do domu. Ale nawet, gdybyśmy zsumowali empatię naszą, tzn. trzech facetów, to nie jesteśmy w stanie poczuć się w skórze Agi, której zachowanie nietrudno wytłumaczyć ze względu na…

> *Wskazówka i morał: w apteczce każdego alpinisty powinien znajdować się obok plasterków i koca termicznego – test ciążowy!*

Już w zupełnych ciemnościach docieramy do asfaltu. Pakujemy się do auta i jedziemy na pole namiotowe. Leje deszcz więc rozkładamy się na karimatach na podłodze baraku jadalni.

Epilog

Głównym motorem napędowym tego szalonego zejścia i pokonania 3300 metrów przewyższenia był Marcin. Ten manewr był o tyle ważny, że ulewa, która zaczęła się w nocy była niemiłosierna. O prognozie wiedzieliśmy, ale żeby zdobyć się na taki wysiłek w zejściu trzeba było czegoś więcej. Dziś nawet Aga przyznaje, że była to dobra decyzja. Marcin był osobą, która dała impuls do organizacji tego wyjazdu, w którym 4 osoby od początku zaprogramowane były na świetną zabawę i sukces. Sukces okupiony wielkim wysiłkiem psychicznym i fizycznym. Po co? Bo

jak pisał Wiktor Ostrowski w 1935 roku:

> *Trzeba przynajmniej raz zakosztować życia, w którym wszystkie wartości są odwrócone: pieniądz ma nie większą wartość niż otaczające Cię kamienie, rzeczy ważne przestają Cię obchodzić zgoła, liczysz tylko na siebie, a zamiast wszystkich tomów kodeksów praw masz tylko jedne, jedyne, ale to niezłomne prawo – BRATERSTWO LINY, którą jesteś w czasie podniebnej wędrówki związany z towarzyszem-przyjacielem!*

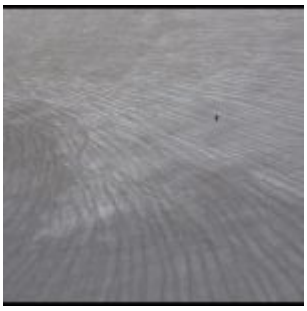
Relację tę kończę pisać o dosyć nietypowym czasie, tzn. o godz. 23:55 w dniu 31.12.2018, tym samym ożywiając wspomnienia i życząc sobie w Nowym Roku kolejnych górskich przygód tej klasy.

Dziku



W komplecie na szczycie

Hochfeiler/Gran Pilastro (3509 m)



Samotny wędrowiec na lodowcu.



Nie byłem sam! Cały czas towarzyszył mi ludzik z klocków. W tle Piz Roseg (3937 m).



Biancograt widziana z Piz Morteratsch. Widoczni nasi przyjaciele, którzy w 3-osobowym zespole idą po ostrzu grani.



Nie ma to jak poplumkać na czekanie. W tle po lewej Piz Scerscen a po prawej – Piz Roseg.



Oni na dół, ja do góry.

Wspomniałem w jednej z relacji o próbie zdobycia Punta Bianca, dlaczego by zatem nie napisać paru słów o wejściu na inny 3-tysięcznik? Tym bardziej, że sam szczyt jest jeszcze wyższy od Punta Bianca, właściwie – najwyższy w całych Alpach Zillertalskich. No i było to zaledwie na dzień przed naszymi przygodami na Gliederferner.

4-ty sierpień 2018-go roku. Trzeci zakręt na drodze prowadzącej na przełęcz Pfitscher Joch. Jest już dzień, a pogoda od rana zapowiada się piękna. Pomimo, że za nami całonocna jazda, to jedynie przepakowujemy plecaki i około godziny 9-tej ruszamy pieszo drogą pod górę. Nie czas na odpoczynek. Z tego typu weekendowych wyjazdów wyciskamy tyle, ile trzeba. Tyle, ile chcemy.

Trasa prowadzi uroczą doliną, idziemy ścieżką trawersując stromy grzbiet. Pod nami, dnem doliny płynie strumień, a wzdłuż niego inny szlak. Widzimy tam kolorowy tłumek złożony z innych wędrowców. Nie wiem dokąd prowadzi ich droga, ale my po około 4 godzinach znajdujemy się już w pobliżu schronu przy

nieczynnym schronisku Hochfeiler Hütte. Wysokość – „zaledwie” 2710 m n.p.m., a już daje się we znaki. Do budynku docieram pierwszy. Przed wejściem do schronu siedzi spora grupa. Dziewczyna pyta się mnie, czy zostaję tu na noc. Odpowiadam, że tak, a ona na to: „powodzenia!”. Widząc moje zdezorientowanie tłumaczy, żebym zerknął do środka. Zaglądam i łapię dowcip: na stole leży magazyn Playboy. Nie zdążyłem dojść do rozkładówki, kiedy dociera reszta grupy. Odpoczywamy, jemy i… decydujemy się na wejście na Hochfeiler – nasz główny cel.

Trasa od schroniska prowadzi krótkim odcinkiem na pobliski grzbiet i właściwie potem do końca grzbietem tym dostajemy się na szczyt. Nie ma gdzie zabłądzić, nie ma gdzie spaść. Dopiero sama końcówka dodaje nieco emocji. Szczególnie mi ciśnienie podnosi jeden z przewodników. Grupę wprowadzał i sprowadzał przywiązując bardzo dużą uwagę do asekuracji. Nie mam co do tego absolutnie żadnych obiekcji, nie lubię jednak, kiedy ktoś chce mnie samego wiązać liną w miejscu, gdzie czuję się tak samo bezpiecznie jak na schodach 7-mio piętrowca na wrocławskim blokowisku.

W rakach, jak należy, a nawet z czekanami około godziny 16:40 stajemy na szczycie. Zaledwie 8 godzin od przyjazdu zrealizowaliśmy nasz główny cel. Tego dnia przeszliśmy 13 km, z czego ponad 11 pod górę, a większość z tego ciężkimi plecakami. Dla trójki z nas jest to pierwszy trzytysięcznik. Brawo!

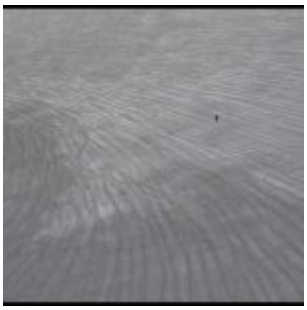
Schodzimy do schronu. Pojawiają się inne grupy i robi się ciasno. Zwalniamy zatem zajęte łóżka w „głównej” komorze i idziemy do „kurnika”. Tu zajmujemy dwa łóżka i podłogę. Miejsce wykorzystane w 100%, nic już więcej się tu nie zmieści. W pierwszej komorze również podłoga zajęta, więc kiedy nocą wychodzimy się hurtowo we trójkę wysikać uważamy, żeby nie podeptać innych turystów.

Zmęczenie i brak dostępu światła (nie mówiąc o tlenie) robią

swoje. Śpimy jak zabici. A dalszy ciąg tutaj.

tekst: Dziku

Silvretta



Samotny wędrowiec na lodowcu.



Nie byłem sam! Cały czas towarzyszył mi ludzik z klocków. W tle Piz Roseg (3937 m).



Biancograt widziana z Piz Morteratsch. Widoczni nasi przyjaciele, którzy w 3-osobowym zespole idą po ostrzu grani.



Nie ma to jak poplumkać na czekanie. W tle po lewej Piz Scerscen a po prawej – Piz Roseg.



Oni na dół, ja do góry.

To się po prostu kocha…

Tekst: Łukasz Jankowski

To był fantastyczny wyjazd. Kolejny cel osiągnięty. Od jakiegoś czasu marzyłem o wyjeździe w Alpy – na lodowiec. Pragnąłem doświadczyć, co oznacza *wejście na lodowiec*. Jak mówią – do trzech razy sztuka. Także i w moim przypadku to się sprawdziło, ponieważ na pierwszy planowany wyjazd nie dostałem urlopu. Drugie podejście, to załamanie pogody. Trzeci raz w tym roku, udaje się wszystko. Jedziemy. Prognozy są dobre, ekipę na wyjazd udaję się skompletować.

Nadszedł piątek 21:00. Nasz szef wyprawy „Dziku”, wraz ze swoim doświadczonym alpejsko kolegą Tomkiem, wpadają po mnie i Magdę. Pakowanie, wsiadamy do auta i ruszamy do Austrii. Po drodze zgarniamy jeszcze Sławka. Mamy już komplet. Droga nocą

jest pusta, także mija dość szybko i po 10 godzinach jesteśmy w miejscu docelowym na parkingu. Szybkie śniadanie, pakowanie plecaków i ruszamy około 7 km do schronu z 20-to kilogramowymi plecakami na plecach. Po około dwóch godzinach jesteśmy na miejscu. Tam chwila odpoczynku, przepakowanie i ruszamy na pierwszy szczyt. Początek całkiem przyjemny, kamienista ścieżka. Po jakimś czasie docieramy pod ten niesamowity lodowiec. Czas założyć raki, uprząż, kask, czekan w rękę i do boju. Wiążemy się liną i ruszamy w górę. Po jakimś czasie kończy się lodowiec, nie było tak strasznie. Zaczyna się skalista grań, a więc to za czym nie przepadam. Idziemy dalej, związani liną, krok po kroku, zabezpieczani przez Dzika i Tomka, ciśniemy na szczyt. Docieramy na Dreilanderspitze 3197 m.n.p.m. Szczyt ten, leży w paśmie Silvretta w Alpach Retyckich, na granicy trzech krajów: Szwajcarii, Austrii i Tyrolu.

Na górze kilka fotek, odpoczynek, picie, jedzonko i powrót znowu tą paskudna granią. Powoli, krok po kroku, udaje się szczęśliwie zejść, dalej lodowiec – czyli raki na nogi, czekan w dłoń i powoli schodzimy w dół. Po jakimś czasie zaczyna się skalista ścieżka do schronu. Szczęśliwi, że udało się w tak ciężkich warunkach zaliczyć szczyt po nocy spędzonej w aucie, schodzimy do schronu. Tam czeka nas niespodzianka – w schronie nie ma miejsca na nocleg. Chwila zastanowienia, zostać w schronie, czy zejść do auta na noc? Błyskawicznie podejmujemy decyzje – prześpimy się na podłodze. Noc mija bardzo szybko, byliśmy zmęczeni, a podłoga nie była aż taka zła. Nadchodzi ranek, w schronie ruch, a więc my także szybkie śniadanie, ogarnięcie się, spakowanie plecaków i ruszamy na nasz kolejny szczyt – Piz Buin.

Zaczyna się niewinnie, ścieżka w skałach pod górę, następnie wejście na przełęcz. W oddali widzimy, że lodowiec strasznie topnieje i ogromna część oberwała się zagradzając szlak. Kilkutonowe bryły lodu nie pozwalają na przejście. Musimy zejść dużo niżej, aby to ominąć. Tracąc sporo wysokości,

znajdujemy ścieżkę, którą postanawiamy ruszać dalej. Jesteśmy sporo opóźnieni przez te seraki lodowe. Po jakimś czasie docieramy do lodowca, a więc znowu raki na nogi, czekan w dłoń. Związujemy się liną i ruszamy. Przed nami ściana lodu. Trzeba ogromnie uważać, bo jeden błąd i wszyscy spadają. Czeka nas wspinaczka, z całej siły wbijanie przednich zębów raków w lód, asekuracja czekanem. To było mega obciążenie nie tylko fizycznie, ale także psychicznie. Jeden zły ruch i wszyscy lecą. Po kilkuset metrach teren troszkę się wypłaszcza, ale za to pojawiają się lodowe szczeliny. Opóźnienie było tak duże, że zastanawiamy się czy zdążymy wrócić przed zmrokiem. Tak więc bez zatrzymania, krok za krokiem, związani liną gonimy w górę by zdobyć kolejny zaplanowany szczyt. Według planu jeśli do 15:00 nie zdążymy to trzeba zawracać. Mocno zmęczeni o 13:00 docieramy na przełęcz. Tam zaczyna się wspinaczka, tak więc czas trochę odpocząć, napić się i pożywić. Ruszamy w górę, nadal związani liną, krok za krokiem, asekurowani podążamy w górę. O 14:40 docieramy na Piz Buiin.

Zmęczony, szczęśliwy, UDAŁO SIĘ. Jestem na wysokości 3312 m n.p.m. To było moje marzenie. Wpisuję się do książki, która znajduje się na szczycie, kilka zdjęć i w drogę. To przecież jeszcze nie koniec, ponieważ trzeba wrócić do schronu. Część trasy powoli schodzimy, potem najtrudniejszy fragment, Dziku opuszcza nas na linie i po jakimś czasie jesteśmy z powrotem na tym niesamowitym lodowcu. Nie mamy za wiele czasu, tak więc łyk herbaty, ubieramy raki i w drogę. Trzeba uważać, ponieważ co jakiś czas pojawiają się szczeliny, ale trasa mija całkiem spokojnie i znowu dochodzimy do tej lodowej ściany. Na szczęście po kilkudziesięciu metrach udaję się zejść na skałę. Wtedy skałami obok tej lodowej ściany schodzimy w dół. Droga się dłuży, ale powoli, powoli schodzimy do tych lodowych seraków. Udaje się wypatrzeć inną ścieżkę, na którą kierujemy się aby iść dalej. Niestety znowu podejście do schroniska. Po jakimś czasie, kiedy wydaje się że schron jest tuż, tuż, nagle kolejny wąwóz. Trzeba ponownie zejść kilkadziesiąt metrów w dół i podejść w górę. Każdy jest już bardzo wyczerpany po tak

ciężkim dniu, ale szczęśliwy ponieważ chwilę po 18:00 udaje się dotrzeć do schronu. Wspaniały dzień, wspaniała ekipa. Teraz czas na posiłek i zasłużony sen. W niedzielę schron już był pusty, także spokojnie poszliśmy spać. Poniedziałek rano, podejmujemy decyzje, że schodzimy do auta i wracamy do domu. Droga powrotna także mija szybko, bez żadnych korków i około 23:00 jesteśmy już we Wrocławiu.

Góry mają w sobie coś niesamowitego. Tego nie da się opisać, to się po prostu kocha. Cele, marzenia i pasje są w naszym zasięgu. Mimo naszych ograniczeń, jakimi życie nas obdarza, warto do nich dążyć. Dzięki towarzyszącym mi osobom czułem się cały czas bezpiecznie, fantastycznie zabezpieczany i asekurowany. Kilka lat temu, pewna osoba, Aga zaraziła mnie tą pasją. Dziś Dziku rozbudził mój apetyt. Już marzę o kolejnych wyjazdach.

Tekst: Łukasz Jankowski

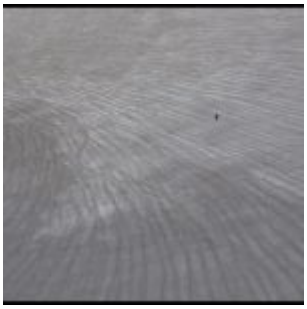
Punta Bianca. I o zaletach relacji

Zalety pamiętnika

Planując kolejne alpejskie przedsięwzięcie z cyklu „nigdy więcej” po raz kolejny przekonałem się o zaletach pisemnych relacji. Pamięć po latach zawodzi i tylko dzięki spisanym wspomnieniom jestem w stanie odtworzyć pewne fakty i lepiej przygotować się do kolejnego wypadu. Mogę też przeczytać sobie czarno na białym różne postanowienia i obietnice, jak np. tą, którą powtarzamy po każdym zimowym wyjeździe w Alpy: „NIGDY WIĘCEJ!”. Na szczególną uwagę zasługuje zdanie Tomka

wypowiedziane w lutym 2013-go roku leżąc w namiocie przy temp. ok -30 stopni: *„Jak kiedyś wspomnę coś o Alpach zimą to mnie walnijcie w głowę”*. Cała relacja jest do przeczytania TUTAJ. Rzeczywiście, przez długi czas nie jeździliśmy zimą w Alpy. Aż do feralnej wyprawy na Allalinhorna, na którą i Tomek dał się skusić (celowo nie przypomniałem mu, co mówił pod Breithornem i nie walnąłem go w głowę).

Dlatego też, tradycyjnie popełnię poniżej krótką relację z jednodniowej akcji na Punta Bianca oraz tradycyjnie – zaplanuję zimowy 4-tysięcznik, po którym tradycyjnie będziemy mieli dosyć tego typu akcji (co najmniej do kolejnej zimy).



Samotny wędrowiec na lodowcu.



Nie byłem sam! Cały czas towarzyszył mi ludzik z klocków. W tle Piz Roseg (3937 m).



Biancograt widziana z Piz Morteratsch. Widoczni nasi przyjaciele, którzy w 3-osobowym zespole idą po ostrzu grani.



Nie ma to jak poplumkać na czekanie. W tle po lewej Piz Scerscen a po prawej – Piz Roseg.



Oni na dół, ja do góry.

Punta Bianca

Wczesne wyjście na lodowiec to podstawa

Jak wiadomo – na lodowiec wychodzi się we wczesnych godzinach porannych. A najlepiej przed wschodem słońca, a najnajlepiej to jeszcze w nocy. Bo lodowiec jest wtedy przymarznięty, bo śnieg się nie lepi do butów, bo komarów nie ma… Dlatego kiedy wstaliśmy do wyjścia, było jeszcze zupełnie ciemno. Jednak zanim znalazłem czołówkę, ktoś otworzył drzwi a ktoś inny głośno oznajmił, że jest godzina 9:40. Na zewnątrz słońce wysoko na niebie, niebo czyste, powietrze cieplutkie. To tylko my w naszym kurniku tkwiliśmy w stanie hibernacji. Tak to jest, jak się śpi we 4 w malutkim pomieszczeniu z odciętym dostępem tlenu i światła. Na lodowiec zatem zejdziemy przed

południem.

Lodowiec

Szlakiem od schronu pod Hochfeilerem udajemy się w kierunku wschodnim. Moreną przedłużamy sobie drogę, tak, żeby na lodowiec wejść nieco powyżej tego co sugeruje znakowany szlak. Po wejściu na lód uzbrajamy się w raki, czekany, linę. Dalsza droga to kluczenie pomiędzy mniejszymi i większymi pęknięciami. Zataczamy dwa duże łuki jakbyśmy dzień wcześniej popili. Wszystko po to, by ominąć najbardziej niebezpieczne strefy. To te, które pocięte są lodowymi rozpadlinami. Dzięki temu bez większych problemów zbliżamy się do przełęczy Obere Weißzintscharte. Dopiero tuż pod siodłem, gdzie zalega śnieg, zaczynają się niepokojące przygody. Raz po raz któremuś z nas zapada się noga. Pod warstwą śniegu ewidentnie są puste miejsca. W pewnym momencie Jacek zmuszony jest robić wygibasy, by się wygrzebać z takiego niepewnego miejsca. Wciąż jednak kończy się na zapadniętych nogach. Będzie gorzej.

Grań

Za siodłem podchodzimy do obniżenia w grani prowadzącej na Punta Bianca (Hoher Weißzint) – szczyt o wysokości 3371 m i nasz cel na dziś. Rozwiązujemy się i dalej, po skalnej grani, posuwamy się do przodu uprawiając łatwą wspinaczkę. Na samym początku mija nas kilka schodzących osób i jeden pies. Pora jest późna więc są to ostatnie osoby, które tego dnia tu wchodziły. Wszyscy oni szli od schroniska z drugiej strony grani, dlatego idą na lekko. Nie musieli przebywać tej samej drogi co my, czyli po lodowcu. Ekspozycja i widoki robią wrażenie. Gdy docieramy do skalnego żandarma w grani, decydujemy się ominąć go od prawej. Przechodzę wąziutką „ścieżką” koło wielkiego bloku skalnego niczego nieświadom. Minąwszy trudności zaczepiam linę i wracam do grupy. Pośredni punkt mocuję do niewielkiej skały opartej o wspomniany wcześniej głaz. Na koniec mocuję jeszcze jeden punkt i Sławek rusza jako pierwszy.

Ostrzeżenie

Przechodząc koło głazu oznajmia, że on się cały rusza i jak go puści to poleci. Albo co gorsza – polecą razem. W tamtym momencie nie wierzę w to co mówi. Jak ważąca tonę skała spoczywająca tam nie wiadomo jak długo miałaby nagle runąć z uczęszczanego szlaku? Kolejne obrazy jak mam w pamięci to to, że Sławek decyduje się podnieść nogę opartą o felerny głaz, ten zsuwa się zabierając kawałek i tak lichej ścieżki unicestwiając ją w tym miejscu zupełnie. Lina zsuwa się po powierzchni skały i ten nie porywa jej. Kamień z ciasno założonym przelotem wysuwa się w dół goniąc za większym kolegą. Rep zsuwa się w magiczny sposób. Sławek stoi gdzie stał na jednej nodze, głaz roztrzaskuje się poniżej. W ścieżce wyrwa. Lina wisi jak wisiała, tylko już z luźnym przelotem. Pomimo tego decydujemy się przejść dalej.

Odwrót

Kolejne kluczowe miejsce to to, gdzie przymocowałem dalszy koniec liny. Pochylone gładkie płyty nie wyglądają zachęcająco. Jak na potwierdzenie zasadności naszych rozterek zbierają się chmury chowając przed nami słońce. Wracać? Tak, dosyć na dzisiaj. Szczyt w odległości paruset metrów, i tylko 40 metrów powyżej miejsca, w którym stoimy. Jednak nie pora już na takie zmagania, tym bardziej, że dostaliśmy wyraźne ostrzeżenie. Wracamy tą samą drogą co przyszliśmy, choć długo spoglądam poniżej grani – mam wrażenie, że tamtędy też jest podejście. Może bezpieczniejsze?

Zwiad

Po powrocie do początku grani, niedaleko siodła Obere Weißzintscharte, zostawiam plecak i wracam w kierunku szczytu. Jednak tym razem poruszam się szybko u stóp grani, a nie jak wcześniej po jej grzbiecie. W 20 minut docieram niedaleko miejsca, z którego zawróciliśmy. Czy jednak dałbym sobie coś uciąć, że ta droga jest bezpieczniejsza? Właściwsza? Tego nie wiem, ponieważ zawróciłem przed kluczowym miejscem, czyli na

samą grań się nie wspiąłem. W każdym razie ta końcówka nie wyglądała zachęcająco.

Surykatka na lodowcu

Po ponownym związaniu się liną przechodzimy siodło i… „uwaga szczelina!” mówię do grupy z tyłu. Wprawdzie idziemy po naszych śladach, ale znów zapadają mi się nogi. Lina łącząca mnie z idącą jako drugą Agness jest napięta. Idę czując lekki opór, jednak nie przeszkadza mi to. Zapewnia to nam większe bezpieczeństwo. Opór nagle staje się na tyle silny, że nie jestem w stanie zrobić kroku. Odwracam się i… widzę Jacka i Sławka. Agness nie ma. Przedziwne uczucie! Było nas czworo a nagle jest nas trzech. Jacek mówi, że Agness zniknęła jak spławik. Kto łowił ryby ten wie jak. Wołam raz i drugi ale odpowiada mi cisza. Tylko lina wychodząca ode mnie i Jacka wskazuje, gdzie może nasza koleżanka się znajdować. Dlaczego jednak nie odkrzyknie? Nagle, w zupełnie zadziwiający sposób Agness wyskakuje spod śniegu. Szczerzy do mnie zęby w uśmiechu, po czym widzi moją minę (w pierwszej chwili pomyślałem, że sobie jaja robiła i się schowała, więc zamierzałem ją opier…) i tłumaczy się, że wpadła do szczeliny. Co ciekawe – pomimo, że była tuż pod powierzchnią lodowca kompletnie nie słyszała mojego wołania. Po oswobodzeniu wygiętej przez idącą do nas linę ręki, Aga zapierając się rakami samodzielnie wydostała się na powierzchnię. Lina też zrobiła swoje, bo nie pozwoliła jej wpaść głębiej. A było gdzie wpadać.

Na uwagę zasługuje fakt, że w całej tej akcji wszyscy zachowali zimną krew. Jacek przez cały czas na spokojnie asekurował liną naszą Surykatkę, która z opanowaniem opracowywała plan „powrotu”. A Sławek… z ani przez chwilę nie słabnącym poczuciem humoru miał z nas po prostu ubaw.

Powrót

Dalsza część drogi – porównując do opisanych przygód nie charakteryzowała się niczym szczególnym. Choć warto wspomnieć,

że zeszliśmy nieco inną trasą (patrz mapka), ponieważ po lodowcu płynęły już o tej porze liczne strumienie i wodospady. Po odkrytych skałach zeszliśmy najniżej jak się dało, po czym po lodowym stoku dotarliśmy do wypłaszczenia, przez które przebiega szlak od Hochfeilerhuette do Untere Weißzintscharte. Oczywiście słowo „szlak" jest tu mocno na wyrost, jednak ta część lodowca pozbawiona jest śniegu i ukrytych szczelin. Dodatkowo przemierza ją w ciągu dnia pewna ilość turystów. Późnym popołudniem docieramy do „kurnika", czyli naszego schronu. Na dziś wystarczy.

Pisane na sucho

Humor, jaki towarzyszył podczas całego tego wyjazdu był specyficzny i zupełnie nie do oddania. To dlatego też długo nie mogłem się za tę relację zabrać. Na koniec postanowiłem, że opiszę to dosyć sucho w formie archiwizacji zdarzeń. A co do klimatów towarzyskich towarzyszącym takim wyjazdom… kto był ten wie. Kto nie był, ten może się tylko sam przekonać, ponieważ każdy wyjazd jest pod tym względem jedyny i niepowtarzalny.

– END –

Tekst – Dziku, na sucho
Zdjęcia – Dziku
Mapka – Jacek

PS. Szczyt Punta Bianca znajduje się w Alpach Zillertalskich. Wyjście miało miejsce 4-go sierpnia 2018 roku w warunkach prawdziwie letnich.

PS2. Spaliśmy tego dnia tak długo, ponieważ dzień wcześniej po całonocnej jeździe pokonaliśmy 1800 mH (z czego 1000mH z ciężkimi plecakami) i zdobyliśmy Hochfeilera – najwyższy szczyt Alp Zillertalskich o wysokości 3510 m n.p.m.